Morawska Konstancja

STANISŁAW KOŹMIAN.

(1811—1885).

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1885.

STANISŁAW
KOŹMIAN.

(1811—1885).

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1885.

Osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego“. — Nakładem Rodziny.

Przez długi szereg lat ostatnich, ilekroć nowa wśród nas otwierała się mogiła, — a wiadomo, ile ich przybyło w najbliższych czasach, jak się mnożyły dotkliwe i szybko następujące po sobie straty! — nawykliśmy stale wyglądać pierwszych słów pociechy, pierwszego wyrazu ogólnego żalu, pierwszej poniekąd grudki ojczystej ziemi w grób naszych świętych, naszych miłych, z dłoni dziś skrzepłej na wieki! Choć nigdy prawie nie podpisywał żadnego z owych wspomnień pośmiertnych, poświęcanych pamięci przyjaciół i wybitnych członków społeczeństwa polskiego, łacno odgadnąć przychodziło ś. p. Stanisława Koźmiana po tkliwości uczuć, delikatności myśli, rzewności toku, wdzięku stylu i formy. I ztąd mimowoli nieraz nasuwała się myśl niespokojna, kto z kolei i jemu odda tę ostatnią posługę, którą on z takiem sercem umiał wyświadczać tym, którzy go poprzedzali na drodze wieczności? Kto nawzajem jego życie opowie, jego duszę odsłoni, jego przypomni uczynki? Kto garść ziemi kochanej na drogą rzuci trumnę i potrafi wonne złożyć kwiaty na mogile tego, który tyle wieńców cmentarnych uwił wierną i za grobem ręką? Posypały się już wprawdzie ulotne nekrologi, zabrzmiały wymowne głosy pożegnania i żalu, echo szczerej żałoby obiegło już kraj cały, ale dotąd napróżno wyglądamy pełniejszego obrazu i wizerunku postaci, która z pośród nas zniknęła, życia, które świeżo dobiegło naznaczonego sobie kresu, działalności promieniejącej w licznych a dobrych czynach, pismach, przykładach i wpływach.

1*

Zanim się może godniejszy znajdzie biograf, co nie przestanie być najgorętszem naszem życzeniem, czy wolno nieudolnym i niepowołanym rękom chwycić się zadania, które tu będzie raczej wypłacaniem się z długu wdzięczności i robotą miłości, aniżeli literacką pracą? Pióro, kuszące się dziś może zbyt śmiało o oddanie pośmiertnego hołdu drogiej zmarłego pamięci, on sam mozolnie kształcił, naprzemian zaostrzał lub łagodził, pochwałą zachęcał, krytyką naprawiał, do bezimiennej wspólności w pisaniu przypuszczał, zapały miarkował naprzemian i podniecał, wskazywał cele, zakreślał ramy, a nareszcie w chwili najcięższego osierocenia, gdy smutkiem ubezwładnione ręce opadały bezczynnie, on je znów wprzęgał w jarzmo pracy, i w niej radził, prosił, nakazywał szukać pociechy, osłody i siły. *Duca, signore e maestro*, chciał mi być tem wszystkiem w ciągu lat ostatnich, i to mnie chyba jedynie uprawnia do rozpoczęcia dziś niniejszej żałobnej roboty. Ułatwia mi ją zaś chętna pomoc bliskich nieboszczyka, oraz skrzętnie gromadzone odgłosy świeżego żalu w sercach, które go ceniły i kochały. Nie osobista tedy będzie to zasługa, jeśli ostatecznie całość do pewnego stopnia odpowie życzeniu i żądaniu czcicieli ś. p. Stanisława Koźmiana. Co się tu znajdzie lepszego, to należy bądź do niego samego odnieść, bądź też przypisać rzewnej spółce żałobnych przyjaciół, którzy

wtenczas pomogli rozmowie,
I do pieśni rzucali mi słowo po słowie.

3 maja 1885 r.

Dobrze zasłużony Ojczyznie dom Koźmianów herbu Nałęcz pochodzi z Biało-Rusi, a że piszą się dotąd *de Rzeczyca*, naprowadza to nas na domysł, iż może do Inflanckiej Rzeżycy początek rodu odnieść wypada. Od kilku jednak wieków osiąść chyba musieli w Lubelskiem, skoro wertując metryki Jagiellońskiej wszechnicy, już w XVI czy w XVII

stuleciu widzimy zapisanego w poczet uczni przesławnej Akademii krakowskiej Koźmiana, i to z okolic stanowiących po dziś dzień ich gniazdo rodowe. Nie od dzisiaj tedy członkowie tej rodziny snadź łaknęli nauki i wiedzy, spiesząc do najobfitszych onej krynic. O światłem i świetnem kole familijnem książąt de Broglie, hrabiów Haussonville i Saint Aulaire powiedziano dowcipnie, że chyba atrament w ich żyłach płynie, tak stale u każdego z członków licznej rodziny talent pisarski się odzywa. Do pewnego stopnia możnaby ten koncept i o Koźmianach powtórzyć; wprawdzie krew gorąca w ich żyłach obiega, do czynu i czynności w służbie publicznej sposobiąc ich głównie, ale zarazem uderza pewna dziedziczność pióra, atawizm talentu, odzywającego się w krótkim czasie aż w pięciu członkach rodziny, i to zawsze w sposób wybitny a niepospolity.

W chwili, gdy ś. p. Stanisław Koźmian przychodził na świat, wojny Napoleońskie na homeryczną nótę nastrajały ludzi i wypadki. Urodził się w dziedzicznej wsi Wronowie, o trzy mile od Lublina, na dniu 21 kwietnia 1811 r., z ojca Jana Koźmiana i matki Wiktoryi Mikuliczówny. Ojciec rychło odumarł żonę i czworo dzieci, z których dziś już tylko przy życiu pozostała córka Zofia; synowie zaś: Stanisław, Jan i Seweryn, wszyscy trzej nie żyją. Najstarszy z rodzeństwa, Stanisław, liczył zaledwie lat siedm, gdy stracił ojca. Matce tedy przypadło samej się krzątać około wychowania drobnej dziatwy, a skutki tego wychowania dowodzą, jak dzielną musiała być i hartowną i mądrą niewiasta, która stawiła podwaliny życia, jakie opisywać nam przyjdzie. Głównie zaś podziwiać przychodzi stałość zasad i gruntu chrześcijańskiego, w jaką starała się opatrzyć synów, zwłaszcza gdy się zważy, iż sama była kalwinką, a tak gorących umiała katolików przysposobić na przyszłe życie, pełne miłości i poświęcenia dla rzymskiego Kościoła. W tem szczytnem macierzyńskiem zadaniu dopomagali jej bracia zmarłego małżonka, biskup Józef Koźmian i późniejszy autor *Ziemiaństwa*, Kajetan. Dom tego ostatniego stanowił poniekąd oś i jądro całej rodziny, a Piotrowice już wtedy były ogniskiem słynącem na kraj cały z rozumnego wdzięku, gościnności staropolskiej, a szerokiej nowożytnej kultury. A tu może nam

się godzi podnieść rys właściwy polskim stosunkom, do którego nieraz nam jeszcze wrócić przyjdzie. Za granicą, jeśli się wsławi jakie społeczne ognisko i centrum życia towarzyskiego, intellektualnego, literackiego, bywa to wyłącznie miejski salon, stworzony rozumnym urokiem pięknej lub dowcipnej kierowniczki. W Polsce zaś darmo podobnych szukać wzorów wśród murów stolic i miast znaczniejszych. Natomiast nie brak wiejskich ustroni, do których zbiegały się tętna spotęgowanego życia umysłu, ducha, serca narodu, wiejskich cichych dworów, które po kolei ześrodkowywały ruch i czynność myśli całych pojedyńczych dzielnic, okolic lub prowincyi, i nabierały znaczenia ognisk, przy których zewsząd przybywano ogrzać się i oświecić. Rozum i prawość kasztelana Koźmiana, wdzięk serdeczny i poświęcenie kasztelanowej, już w tych wczesnych latach opromieniały dom Piotrowicki osobną a długotrwałą aureolą. Zjeżdżano się tu i licznie i często, a nie sama rodzina w tych zjazdach uczestniczyła. I sąsiedztwo, i rozsypane po miastach wojsko polskie, i warszawscy pisarze nawiedzali chętnie Piotrowickie progi. Nie zbyt odległe Puławy dostarczały tu niekiedy dostojnych gości. Ś. p. Stanisław Koźmian do najdawniejszych wspomnień młodości zaliczał pewne odwiedziny Księżnej-jenerałowej Ziem Podolskich, gdy autor *Ziemiaństwa* tak zręcznie krętemi ścieżkami przeprowadzał wielką miłośnicę ogrodów, aż niby przypadkiem stanęli nad kamieniem upamiętniającym jej nazwisko i bytność przy którym przebrany za kmiotka w białej sukmanie synowiec, ów mały Staś, który nam w sędziwym wieku opowiadał tę całą, w duchu epoki ułożoną niespodziankę, okolicznościowe a przez stryja ułożone deklamował wiersze. Piotrowice też do końca zachowały dla młodych Koźmianów coś z serdecznego uroku rodzicielskiego domu. W pierwszym zaraz roku po burzy rewolucyjnej, która rozbiła i domy i kółka najbardziej zjednoczone, wśród lakonicznych zapisków młodego wygnańca znajdujemy smętną wzmiankę, że „w Piotrowicach dobrze się na dożynkach bawiono,“ jak donoszono z kraju. A skazani na tułaczkę synowcy już nigdy tam wrócić nie mieli.

Z krótkiej notatki ś. p. Stanisława Koźmiana, która przynajmniej pod względem dat posłuży nam za nić przewo-

dnią w odszukaniu śladów jego życia, dowiadujemy się, iż w r. 1822 został oddanym do szkół lubelskich. Ze zwykłą skromnością dodaje on na tem miejscu: „Z miernego w domu ucznia stałem się odrazu dobrym w szkołach, dzięki ordynaryuszowi klasy 2giej, X. Barcińskiemu, który mnie bardzo polubił, zachęcał i odznaczał. Odtąd przez wszystkie cztery klasy, to jest do 5tej włącznie, otrzymywałem zawsze pierwszą nagrodę.“ Do wielkich zdolności i żywości pojęcia, młody uczeń szkół lubelskich łączył dar wielki fenomenalnej zaiste pamięci, która go do końca życia nie odstąpiła. Nie byłato pamięć specyalna imion, liczb, osób lub wypadków, ale ogólna, szeroka, obejmująca wszystko, czego się nauczył, co widział lub co przeczytał, ogarniająca taksamo daty, jak nazwiska, tytuły, jak treść książek, twarz i stosunki ludzi, których spotykał. Pełno możnaby przypomnieć szczegółów i drobnych dowodów tak niezwykłego daru Bożego. Wystarczy przytoczyć jeden, którym nieraz bawił znajomych, a mianowicie tak ścisłą pamięć dni kalendarzowych, iż od 1go stycznia do 31go grudnia bez zatknięcia wymieniał przypadającego na każdy dzień patrona, a nadto równie dobrze pamiętał wesołe lub żałobne anniwersarze wszystkich krewnych, przyjaciół, a nawet dalszych znajomych. Ztąd mnożył dowody serca w dni miłem lub bolesnem wspomnieniem uświęcone, i listy jego nigdy nie omijały sposobności udowodnienia szczerego udziału w każdem smutnem lub radosnem święcie. Pamięć ta, która własne ozłociła mu życie, biografowi dziś mało przysparza materyału. Ufając nie zacierającej się nigdy skarbnicy wspomnień, ś. p. Stanisław Koźmian niewiele z nich przelał na papier. Prowadził wprawdzie codzienne zapiski, atoli uważać je raczej można za regestr tego, co widział lub zrobił przez dzień cały, aniżeli za odzwierciedlenie ważniejszych wrażeń i zdarzeń. Wpisuje gołosłownie, że tego lub owego spotkał, że rozmowa toczyła się o tym lub owym przedmiocie, że udał się w to lub owo miejsce, ale to wszystko w formie nieomal stenograficznej, która tylko jemu samemu posłużyć mogła za drogoskazy pamięci i przewodni w labiryncie wspomnień kłębek. Może kiedyś zamierzał ten surowy materyał na właściwy przerobić pamiętnik, a wdzięk urywków, jakie nam w tej rozszerzonej formie zostawił, aby je

poświęcić bądź Gaszyńskiemu, bądź generałowi Morawskiemu, daje nam przedsmak tego, czem być mogły podobne pamiętniki, budzi żal, iż ich się więcej nie znalazło. — Wstąpienie swe do szóstej, a więc najwyższej klasy warszawskiego Lyceum, dokąd go z Lublina przeniesiono, tak nam sam opowiada w wspomnieniu poświęconem Konstantemu Gaszyńskiemu [1]):

„Wprowadził mnie rektor Samuel Bogumił Linde. Lekcya już była rozpoczętą. Więc poleciwszy mię w kilku słowach względom profesora i uprzejmości uczniów, zaraz odszedł. Zająwszy wskazane mi miejsce, przez kilka minut nie wiedziałem nic, nie słyszałem, co się około mnie działo. Gdym się ocknął, ujrzałem prawie obok siebie ucznia czytającego wypracowanie o wojnach róży białej i czerwonej. Profesor historyi Koncewicz przysłuchiwał mu się z natężoną uwagą, często milczkiem potakiwał, czasem nawet przerywał głośną pochwałą. Uderzony raczej żwawym, barwnym i poetycznym stylem czytającego, niż treścią rozprawy, za którą zmięszanie nie dozwalało mi postępować, począłem się bliżej w niego wpatrywać. Był to figlarny chłopczyk, z drobną, rumianą twarzyczką, z czarnemi oczami i ciemnym, kędzierzawym włosem. Na przeciwległej ławce, gdyż ławki stały po obu stronach katedry, tak że pierwszoletni patrzeli oko w oko drugoletnim tej klasy uczniom, siedział urodziwy i już dorosły młodzian. Rysy nadobne, klasyczne, czoło podniosłe, oko płomieniste, usta zginające się to w dowcipny uśmiech, to w poważny wyraz natchnienia, oznaczały wyższego umysłem czy talentem człowieka. Głęboko wpatrzony w czytającego, zdawał się każde jego słowo chwytać w podniesione uczuciem piersi, a ruchem oczu i ust okazywał, jaką niezmierną czuł radość. Po skończonym odczycie profesor zwrócił się do mnie, zadał kilka pytań z historyi, zagabnął jakie znam ważniejsze historyczne dzieła, z czego gdym się nieosobliwie wywiązał, zmięszanie moje jeszcze bardziej się wzmogło. Wnet godzina wybiła i gdy wszyscy poczęli się rozchodzić do domu, owi dwaj przystąpili do mnie i powitawszy w gorących wyrazach, jak

[1]) Żywot i pisma K. Gaszyńskiego. Przedruk z Roczników Tow. Przyjaciół Nauk. Poznań 1872.

gdyby chcieli mię ośmielić i oswoić z nowem położeniem, obsypali zapytaniami pełnemi życzliwości i objaśnieniami co do lekcyi i profesorów. Ta ich opiekuńcza dobroć a wdzięczne z mej strony uczucie, zasnuło między nami odrazu węzeł szczerej przychylności, a wnet i serdecznej przyjaźni. Pierwszy, młodszy, był Zygmunt Krasiński, drugi, Konstanty Gaszyński.

Przyjaźń ta niezmienna w dobrych i złych przygodach, mimo ogromnej różnicy i zdolności i zasług, mimo odrębności powołań, mimo oddalenia przez wypadki spowodowanego, przetrwała między nami w pierwszej sile aż do końca ich życia.“

Kółko to przyjacielskie zwiększyło się niebawem kilku innymi zdolnymi młodzieńcami, jak Dominik Magnuszewski, Leon Ulrych, Lucyan Siemieński, zwłaszcza gdy po ukończeniu liceum Stanisław Koźmian przeszedł do uniwersytetu i zapisał się w roku 1828 na wydział prawa i administracyi, tudzież na wydział filologiczny. Z tego ostatniego niebawem wykreślił się, wszelako nie dość szybko, aby nie zachować przez całe życie klasycznej podstawy łacińskich autorów, których chętnie przytaczał, a mimo przechylania się do romantycznej szkoły, zachwycił coś i zatrzymał z form doskonałych starożytnego w myśli i języku piękna. Za powodem i przykładem owych kolegów, i Koźmian zaczął wiele pisać i puszczać się na literackie pole. Więcej od uniwersyteckich wykładów rozwijały młodzieńca wieczory spędzane u stryja Kajetana, którego służba publiczna z Piotrowic do Warszawy przeniosła. Schodzili się tam najwybitniejsi mężowie stolicy, najprzedniejsi w Polsce pisarze, toczyły się spory zacięte klassyków i romantyków, wiodły ciekawe i pouczające rozmowy. Gospodarz domu wraz z Osińskim skrajny przedstawiali klassycyzm, Franciszek Morawski stał w pośrodku dwóch obozów, to drażniąc zobopólnie przeciwników, to znów próbując dowcipnie zażegnać burzę, jaką sam nieraz ciętym konceptem wywołał; młodzież zaś na zabój romantyków broniła, a Stanisław Koźmian do tego stopnia posuwał ślepe dla litewskiego wieszcza uwielbienie, iż go urażony w swym klassycznym uporze stryj, Mickiewiczem przezywał. Mimo skromności i różnicy wieku, nierzadko bowiem występował

młody Koźmian z zaciętą obroną przywódzcy romantyków przeciw napaściom wytrawnych nestorów piśmiennictwa polskiego, nie przeczuwających nowej w literaturze jutrzenki. Do tejto epoki odnieść należy gorące przywiązanie się Stanisława Koźmiana do znacznie starszego od siebie Morawskiego. Znał go już z Piotrowic, gdzie jenerał częstym bywał gościem i jednał sobie dzieci różnemi konceptami i figlami. a olśniewał ich szlifami z ogromnemi srebrnemi bulionami i stósowanym kapeluszem z bogatym pióropuszem biało-czerwonym. W Warszawie dopiero uznanie, jakie Morawski miał dla Mickiewicza, nawiązało istotny węzeł serdecznych uczuć czci i miłości, które Koźmian dochował jenerałowi do zgonu. Opisując zaś owe żwawe dyskusye, w których nieraz i sędziwy Niemcewicz brał udział, pisze, że „ożywiały się one mianowicie, ilekroć jenerał Morawski przybywał. Ja zaś zapalony stronnik Mickiewicza, przywiązywałem się coraz bardziej do niego za to, iż mego wieszcza bronił.“ Lecz jeśli zajmujące bywały i ożywione zebrania w domu kasztelana Koźmiana, ileż wdzięku mieć musiały zapóźnione, długie wieczory u tej pięknej młodzieży, która się paliła entuzyazmem dla najszczytniejszych ideałów miłości Ojczyzny, przyjaźni bratniej, piękna w literaturze, w sztuce, w życiu; same imiona ich i dotrzymane w późniejszych latach świetne zapowiedzie przyszłości wystarczą, aby dać miarę i nastrój owych studenckich schadzek, ożywionych dowcipami Gaszyńskiego, sprzeczkami zasadniczemi w kwestyach literatury trzech Koźmianów: Stanisława, Jana i starszego od nich Andrzeja, muzyką zaprzyjaźnionego z nimi Chopina, próbkami młodych talentów, wśród których poczestne miejsce zajmował Zygmunt Krasiński, najmilszy towarzysz tego wybranego grona, pełen wesołej swobody, niewyczerpany w figlach młodzieńczej pustoty, dopóki mu życie nie złamało skrzydeł, a geniusz smutną gwiazdą nie naznaczył czoła.

Pociąg do piśmiennictwa rozwijał się tymczasem coraz bardziej w młodym słuchaczu uniwersytetu warszawskiego, a rozwijał, jak sam pisze, ze szkodą nauk. Odważył się nawet dwukrotnie pierwsze próby młodzieńcze do druku oddać. Było to w r. 1829, muzyka pierwsze poetyczne wywołała dźwięki z piersi przez całe życie pełnych zgodnej har-

monii. Pochwała i pożegnanie odjeżdżającego Chopina, wiersz na cześć Henryetty Sontag, która czarownym głosem całą zachwycała Warszawę, te były najpierwsze literackie plony muzy Koźmiana. U stóp sławnej śpiewaczki posypały się mianowicie mnogie hołdy, przeważnie z ław uniwersyteckich. Wołowski Ludwik napisał odę w języku francuskim, Gaszyński po polsku, wiersz Koźmiana Morawski przeczytał, pochwalił i odtąd zwał go stale „Koźmianem Zontagowskim.“

A tymczasem Warszawa brzmiała festynami koronacyi Mikołaja, który z tego powodu przybył i bawił w stolicy. Jeden z młodych Koźmianów, nie pomnę już czy starszy Stanisław, czy też młodszy Jan, pewnego poranku wyszedł był na przechadzkę do Łazienkowskiego ogrodu. Tam zaczytawszy się czy zadumawszy na ławeczce, nie spostrzegł idącego opodal cesarza, który przeszedł tuż obok niebacznego młodzieńca, groźnem przeszył go spojrzeniem i odchodząc, długo jeszcze wzrok ostry topił w zmięszanym chłopcu polskim, jak gdyby chciał w nim wrazić grozę przed „carem północy — zwycięzcą nad dziatwą.“ Celu wszakże snadź nie osiągnął, bo następnego roku pierwszy wybuch powstania już obu braci zaciągnął w narodowe szeregi.

Poprzednio jednak wraz z Gaszyńskim Stanisław Koźmian założył był pismo miesięczne p. t.: *Pamiętnik dla płci pięknej*, w którem wiele juweniliów zamieszczał, a Lach Szyrma przypuszczał jego tłómaczenia z *Lalla Rookh*, i inne wiersze do wydawanego przez siebie *Pamiętnika nauk ścisłych i stósowanych*. Marzeniem tych wszystkich studentów było wówczas jak najprędzej ujrzeć myśl swoją w druku, *to rush into print* wedle drastycznego wyrażenia Anglików, zaczem jeden drugiemu ułatwiał zaspokojenie tak naiwnych ambicyi.

Zbladły one wobec waru dziejowych wypadków i orężnej za Ojczyznę walki. Dziewiętnastoletni Stanisław, szesnastoletni Jan, z równym zapałem chwycili za broń, która, jak złudnie mniemali, miała niebawem wyswobodzić Polskę. Zaraz po nocy Listopadowej widzimy ich w t. zw. gwardyi honorowej, odbywającej służbę przy dyktatorze: „Razu jednego,“ pisze w Wspomnieniu o jenerale Morawskim Stanisław Koźmian, „może na tydzień przed bitwą Grochowską, stałem

z drugim gwardzistą na warcie przed kwaterą naczelnego wodza w Jabłonnie, i jako starszy z dwóch komenderowałem, gdy przed jakimś oficerem trzeba było broń zaprezentować. Wtem patrzę, wchodzi jenerał Morawski z ogromną teką jako minister wojny. Szybko przechodząc nie spojrzał na mnie, ani dosłyszał mego głosu, ale gdy wracał, poznał mnie i zatrzymawszy się, zawołał: A ty co tu robisz? Potem zaczął się wypytywać jak się mam, czy lubię służbę, czy piszę co pod bronią, i odchodząc, uścisnął. Gdyby jaki rygorysta oficer był to widział z boku, byłby się pewnie oburzył na jenerała, który szyldwacha ściskał, chociażby był nawet przypadkiem wiedział, że to raczej sławny autor *Wiersza do klassyków* witał biednego autorka lichych wierszydeł do panny Sontag."

Nie płonne było zapytanie starszego poety, czy młodszy i w służbie nie odbiega muzy. Wszystko się składało, aby przysparzać natchnienia i dusze dostrajać do wysokości chwili. Ludzie najmniej do poetycznego marzycielstwa skłonni, w barwach poezyi pełnych malują nam owo piękne zaranie nieszczęśliwie zakończonej wojny. Każdy z jej uczestników, jakiekolwiek być miały przyszłe jego losy, jednę tylko podobną wiosnę zaznać miał w życiu, a jak silne i piękne i porywające były owe chwile i owe wrażenia, najlepszym dowodem niezatarte ślady, jakie one zostawiły na duszach, które wówczas uczuły dreszcze zmartwychwstania: jakieś osobne a właściwe wyszlachetnienie, niezłomność nadziei mimo doznanych zawodów, gorętsza miłość dla sprawy, za którą my tylko łzy i pot dać możem, podczas gdy oni lać krew swą mieli sposobność, oto piętna wyryte na wszystkich żołnierzach z tej epoki poświęceniem wspaniałej.

Z przypasaniem pałasza, Koźmian nie porzucił pióra. Owszem, jął pisywać pieśni patryotyczne, odważył się nawet na dramat p. t. *Szpieg,* grany na wielkim teatrze warszawskim i pobłażliwie przez publiczność przyjęty. Przekłady z niemieckiego także nęciły późniejszego tłómacza Szekspira. Przyswoił mowie polskiej sztukę Goethego, *Klawigo*, a wespół z Ulrychem Szyllerowskiego *Wilhelma Tella* przełożył. Wydawnictwo *Dziennika gwardyi honorowej* wkrótce dyktator zawiesił, a niebawem coraz spieszniej po sobie następu-

jące wypadki przeszkodziły dalszym literackim zajęciom i zabawom. Po rozwiązaniu gwardyi honorowej, młody Koźmian wstąpił do t. zw. Guidów, którzy pełnili służbę przy boku naczelnego wodza. Z oddziałem tym był w pamiętnej bitwie Grochowskiej. Gdy zaś z kolei i Guidów rozwiązano, zaciągnął się wespół z młodszym bratem do lekkiej bateryi konnej, będącej naprzód pod dowództwem kapitana Radowickiego, a następnie Fröhlicha. Odtąd wyruszywszy w pole, czynnie już całą odbywali kampanię. Bronić im przychodziło przeprawy przez Wisłę, częste po drugiej jej stronie czyniąc wycieczki. Z korpusem Sierawskiego w d. 17 i 19 kwietnia walczyli pod Wronowem i Kazimierzem. W pierwszej z tych potyczek znaleźli się naprzeciw domu rodzicielskiego i radzi opisywali radość poczciwych włościan wronowskich witających swych paniczów w narodowym mundurze.

Po niejakim czasie przyłączono ich do korpusu Ramorina, zaczem uczestniczyli w wyprawie na Rydygiera. Po przejściu Wisły pod Warszawą, obaj młodzieńcy bili się walecznie pod Szymanowem, a na dniu 17 sierpnia, w bitwie pod Ołtarzewem, zostali wzięci obydwaj do niewoli, przyczem niemało od Kozaków doznali przykrości. Obdarłszy wszakże podoficerskie galony, udali się za prostych żołnierzy, zaczem po dwóch tygodniach ich puszczono, nakazując najprostszą do miejsca urodzenia wracać drogą, pod zagrożeniem śmierci, gdyby się odważyli zboczyć z przepisanej marszruty. Tymczasem bohaterskie dzieci przedarły się do puszczy Kampinoskiej, gdzie po kilkodniowem błąkaniu zdybawszy oddział Matuszewicza, dostali się z nim do Modlina, a następnie do Warszawy, gdzie już matka o losie ich i życiu wątpić poczynała. Tu Krukowiecki przyobiecując stopnie oficerskie i krzyże, pozwolił zmęczonym i ledwie trzymającym się na pokaleczonych nogach chłopcom udać się na odpoczynek chwilowy i wyleczenie do matki. W tym właśnie czasie Warszawa wziętą została. W nocy z 7go na 8go września obydwaj bracia przeszli na Pragę, ztamtąd spiesząc do Zakroczymia, a następnie Płocka i Prus. Rozbitki wojsk polskich coraz to innej szukają zrazu przystani; Koźmianowie miesiąc cały bawią w Hanowerze, a pod sam koniec roku osiadają w Brukseli. Życie ciężkie i coraz cięższe. Środki zabrane

z sobą rychło się wyczerpują, matka nie śmié pisać, nie śmié zasiłków posyłać synom, bo nużby się rząd dowiedział o stosunkach z emigrantami, gotów ojcowiznę zagarnąć. Praca jedyną pomocą, pociechą w smutkach, w biedzie, w zwątpieniu. Stanisław Koźmian przedewszystkiem próbuje wprawiać się w francuskim języku, a wprawia dość szybko, aby pisać wkrótce artykuły o Antwerpii i o następstwie hiszpańskiem. Ale Paryż wabi tułaczów skupieniem głównej fali emigracyjnej, liczbą ziomków, spotęgowanem wśród nich życiem. Dawne Piotrowickie stosunki z Puławami, z Niemcewiczem, także na szali zaważyć musiały. A zresztą biednym chłopcom w Brukseli tak było obco, tak smutno, tak źle, że czemużby nie spróbować ażali w Paryżu nie będzie lepiej? Przenoszą się tedy do Paryża, ale rychłego doznają rozczarowania. Wszakże tam jeszcze gorzej, jeszcze bardziej gorzko wśród

Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów.

Kochający całą duszą Ojczyznę, lecz nie lubiący nigdy waru i wiru politycznych sporów i stronnictw, Stanisław Koźmian, rychło przeczuwa, że mu tam długo wytrzymać nie przyjdzie. Ale jak brata usunąć z tej gorącej, trującej, szkodliwej atmosfery? Mimo niewielkiej różnicy wieku, starszy wciąż się do tej opieki nad młodszym poczuwa, o niego bardziej jak o siebie troska. Przychodzi mu w pomoc ks. Adam Czartoryski, ułatwia Janowi Koźmianowi za jego radą postanowiony wyjazd z Paryża, a i Stanisław niedługo tam zabawić myśli, choć nowy, wielki magnes gotów go zatrzymać. Jak rzewnie brzmią następne słowa, pisane d. 5 sierpnia 1832 r. z Paryża do brata Jana:

„Wczoraj przeżyłem dzień piękny w życiu — poznałem Mickiewicza.“

Ileż w tem prostem doniesieniu stłumionego wzruszenia, skrystalizowania we wszystkich przedrewolucyjnych młodzieńca zapałów dla wieszcza litewskiego, a może pierwsza pociecha, pierwszy dzień piękny od tego strasznego dnia, co ojczyste rozwiał nadzieje! Następują szczegóły o owem pierw-

szem spotkaniu, opis obiadu danego na cześć Mickiewicza przez Litwinów; urodzony z matki Litwinki, sam z pochodzenia litewskiego, przecisnął się i Koźmian w to zaklęte koło. Nie doznał rozczarowania; pisze bowiem dalej, że „była to chwila zachwycająca, gdy Mickiewicz prosił Lelewela o temat i po trzy razy z dwie godziny improwizował.“

To jedno trzyma go jeszcze w Paryżu, odstręcza go zaś charakter Francuzów, boli gorączka emigracyjna. Z prac literackich, do owej epoki zaledwie odnieść wypada kilka artykułów dla publikacyi: *Souvenirs de la Pologne* i *Stu sławnych Polaków* Straszewicza. I znów tęsknota wygnańca pcha dalej i dalej, tym razem pod mury obleganej Antwerpii, gdzie wielu Polaków się znajduje. Spółka braterska z konieczności się rozwiązuje, Jan przywiązany do Francyi i Francuzów, wkrótce udać się do Tuluzy zamierza dla kształcenia w prawniczym zawodzie; Stanisław powziąwszy wstręt do lekkości i zmienności francuskiej, odczuwa dawne sympatye dla literatury i charakteru angielskiego. Oto jak opisuje w pierwszym rozdziale książki p. t.: Anglia i Polska, genezę swego nowego, a jak się zdaje, nagłego postanowienia:

„Jam miał już dość przez ostatnie dwa lata grzmotu kul i wrzawy wojennej, i w kraju i na bruku paryskim, i oto w tej zabawce pod Antwerpią. Postanowiłem więc dla odmiany udać się tam, gdzie od blisko dwóch wieków pokój tronuje, ubezpieczony równie na trwałych i dobroczynnych instytucyach, jak na niezłomnym charakterze narodowym. Udałem się tedy do Anglii.“

Nie tak spokojnie i objektywnie dzielił się jednak na razie z bratem powziętą decyzyą.

D. 1 stycznia 1833. *Ostenda.*

„List twój odbieram w tej chwili; o 9tej dziś wieczór odbijam od brzegu. Módl się za mnie, jeśli możesz. Wyjeżdżaj z Paryża, oto ostatnia moja prośba na stałym lądzie. Ale jeżeli co lepszego możesz znaleść, jeśli kto ci poradzi jakieś przedsięwzięcie mądrzejsze, dlaczegóż nie rozważyć, nie pomyśleć? Nie w tem próba mocnego charakteru, żeby się trzymać pierwszej lepszej myśli. To wszystko sam rozważ, bo listem tego ci wyrazić nie mogę. Staraj się, rachuj, a jeżeli ci bieda

będzie, pisz do mnie, a ja przecież znajdę sposób dopomożenia. Obierasz sobie jaki przedmiot, pisz w nim, przewracaj wszystkich autorów i pamiętaj, że trzeba koniecznie być specyalnym. — Ja będę sobie radzić. Nie mam już jak 400 fr., za miesiąc więc musi się ze mną zdecydować. Pierwszy dzień roku nie najlepiej dla mnie wróży, co do mojej moralnej strony. Może to robi pamięć na ciebie, — list do mamy, który napisałem, i pożegnanie z stałym lądem. Cóż ci mogę więcej powiedzieć? Kochaj mnie zawsze; bądź zdrów.

S. K."

W liście tym przejawia się jedna właściwa strona tej pięknej, rzadkiej braterskiej spójni. Starszy usiłuje młodszego ochronić od rozproszenia sił, do czego zawsze Jan miał skłonność, bo nie przeczuwa, iż tych sił i tego poświęcenia tak olbrzymi w duszy młodzieńca tkwi zasób, iż ich zawsze na wszystko i dla wszystkich starczy. Radzi o kierunku pracy, o materyalnej potrzebie, obiecuje pomoc, choć sam nie wie zkąd ją zapewni. A młodszy tymczasem jednę ma wyższość nad starszym, dojrzalszym przyjacielem i opiekunem. W Stanisławie wiek męski, wiek klęski przejawia się chwilowym rozstrojem w religijnych uczuciach, o czem świadczy może to słowo: *Módl się za mnie, jeśli możesz.* Młodszy nigdy tej próby ducha nie zaznał, nigdy się nie zachwiał w wierze i nawzajem pod tym względem musiał być podporą dla brata, stróżem ducha jego. Może do tych dni zaciemnionych odnieść wypada sonet p. Stanisława ze znaczącym wierszem ostatnim:

Czy pomnisz na włość naszą? w czarnych borów kole,
Pasmem łąk biegnie strumień. W okrąg żyzne łany.
Dom — dwa stawy — a przez nie grobla w świat nieznany,
Jak czaty naszych marzeń, ciągnęły topole.

. . . .

Tam drobne do pacierza ręce wznosząc społem,
Równieśmy się tajemnic dociekać lękali,
Jak wkraczać za brzeg boru, kędy już w oddali
Znikał z oczu nasz strażnik, biały dom za siołem;

Bośmy rozumu z sercem nie kładli na szali,
Wątpić tyś nigdy nie śmiał — a ja nie począłem.

Każdy więc z braci inną przechodził próbę; jeden młodszy chwilowo zdawał się odurzony światem, wystawiony na jego pokusy i idące w ślad zmarnowanie; drugi, starszy, przebywał moralne udręczenia religijnych wątpliwości. Nie mamy obustronnej korespondencyi, ale wyraźnie bywały obustronne rady, serdeczna pomoc wzajemna, co z listów jednego z nich wypada: „Życzę, abyś jak najprędzej skończył z Francyą, pisze po niejakim czasie Stanisław; pisz i ucz się po hiszpańsku, a mnie o postępie swych nauk donoś... Uściskałbyś mnie, żebyś wiedział, jakim teraz żarliwy jeśli nie katolik, to stronnik katolicyzmu.“ Ten odcień w zobopólnym obu braci stosunku stanowi jednę z najważniejszych stron ich wzajemnej ku sobie miłości. Stanisław czuwa nad duchem Jana, Jan nad duszą Stanisława, i obydwaj w tej serdecznej trosce znajdują zaspokojenie ostateczne, stopniowym powrotem do wiary starszego, ubezpieczeniem od pokus świata za pomocą pracy młodszego. Lecz w tym procesie wewnętrznym ileż brat bratu zawdzięczał, ile był winien? to pozostaje tajemnicą ich miłości.

Kto chce poznać pierwsze wrażenia młodego Polaka na ziemi angielskiej, szukać ich może w wspomnianej już powyżej książce *Anglia i Polska.* Okoliczności złożyły się na rzucenie odrazu w duszę Stanisława Koźmiana pierwszej iskry owego kultu dla Szekspira, któremu do śmierci miał pozostać wiernym. Zaraz na wstępie do Londynu, przedstawienie sztuki: *Two gentlemen of Verona,* zachwyca go i pasuje na rycerza wielkiego angielskiego dramaturga. Kiedyś, w rychle, przekłady swe od tego właśnie zacznie utworu, i *Dwaj panowie z Werony* rozpoczną szereg tyle cennych, starannych i zgodnych z duchem pierwowzoru tłómaczeń. Nie na tem jednak ograniczyły się igraszki losu sposobiącego w młodym Koźmianie apostoła Szekspirowskiego na polskiej ziemi. Po kilku dniach pobytu w Londynie, gdy go drożyzna i hałas stołeczny zniewoliły cichszego i tańszego szukać pobytu, a w tym celu obrał sobie miasto Birmingham, zdążając tamże, na pierwszy zaraz nocleg zjechał do Stratford on Avon, miej-

sca urodzenia ulubionego poety. Odtąd stałem u niego hasłem Dantejski okrzyk: *Onorate l'altissimo poeta!* To uspecyalizowanie kierunku dało mu naprzód przeniknąć dokładnie kraj i ludzi, wśród których mu żyć przyszło, bo, jak sam pisze na jednem miejscu: „Szekspir jest najdobitniejszym komentarzem swego narodu, a naród angielski najżywotniejszym komentarzem Szekspira.“ Dalej, na podstawie tego uwielbienia dla arcymistrza, zawiązał niejedne bliższe a ciekawe stosunki, zgromadził tak bogatą bibliotekę Szekspirowską, że jego zbiór może iść o lepsze z publicznemi w tej mierze księgozbiorami, przyswoił naszej literaturze trzy tomy przekładów dramatycznych, a mianowicie: *Sen nocy letniej, Król Lear, dwaj panowie z Werony, Król Jan, Król Ryszard II, Król Henryk IV, część 1 i 2,* z objaśnieniami i przypiskami, których wartość uznaną powszechnie nie tu miejsce podnosić. Wciąż jeszcze w ulubionym do końca pracował przedmiocie. To dalsze podejmował przekłady, to szukał u Szekspira śladów znajomości historyi polskiej, mianowicie w *Zimowej powieści* i *Burzy,* to znojnie układał wydanie Szekspira *ad usum delphini,* dla dziatwy polskiej, z pominięciem zbyt jaskrawych ustępów, to nareszcie windykował dla swego poety katolicką z rzymskim Kościołem jedność, mimo ogólnego odstępstwa spółczesnych, i wykazywał dobitnie za pomocą tekstów i cytat, że Szekspir dochował wierności przodków wierze. Ta jednolitość przewodniego zajęcia przez całe długie życie tak rzadkim bywa objawem wśród niestałości ogólnej naszych charakterów i stosunków, że wyprzedzając bieg wypadków o nią potrącić już teraz wypadło.

Listy z owej epoki najlepiej nam wyjaśniają powody, dla których Stanisław Koźmian tak szybko postanowił opuścić stolicę Anglii, aby osiąść w prowincyonalnem mieście. Znalazł kilku światłych doradzców, między innymi obeznanego ze stosunkami miejscowemi wychodźcę, Lacha Szyrmę, którzy mu wskazali Birmingham jako miejsce najkorzystniejszego pobytu, bądź z powodu, że tam jeszcze fala emigracyjna nie dotarła, a więc łatwiej pojedyńczemu Polakowi przyszłoby znaleść poparcie i zajęcie, bądź że tam znajdowali się związani w towarzystwo liczni przyjaciele Polski,

bądź nareszcie, że podrzędne miasto nietylko fabrykami, ale i w dziedzinie politycznej osobnego świeżo nabrało znaczenia, dobijając się wymownemi głosami parlamentarnej reformy. Stan kasy biednego młodzieńca naglił też o powzięcie szybkiej decyzyi; jak sam donosi bratu, za przybyciem do Londynu miał zaledwie w ręku jeden dukat polski, dwa luidory po 20 fr., siedm po 10 złotych holenderskich, nareszcie weksel na 152 franków. Z tem w Anglii niedługo utrzymać się można. „Oto jest na dwa miesiące nędznego życia, a potem? — Gaszyński powiedziałby: *Zdolność;* ale ja i ty pewnie w to nie wierzym.“ Tymczasem wierzyć należało i sprawdziło się niebawem dla polskiego młodzieńca nieomylne zapewnienie, iż ochotnym do pracy dłoniom nigdy zajęcia nie braknie. Już w parę miesięcy później donosi swoim, że znalazł sposób zabezpieczenia sobie niepodległości, a choć nie daje szczegółów, wiemy, że zaczął skromnie od udzielania lekcyi francuskiego języka, a te wraz z polecającemi od Niemcewicza i Campbella listami, rozszerzyły niebawem koło jego stosunków. Zbliżył się mianowicie do dwóch członków nowego parlamentu: Jozuego Scholefield i Tomasza Attwood. Dom tego ostatniego stał się niebawem przystanią dla biednego polskiego rozbitka. „Dom Attwoodów był wzorem serdecznej gościnności. Polakowi mogło się w nim poniekąd zdawać, że jest między swoimi. Matka ze łzami w oczach ubolewała nad Polską, córki uczyły się naszej mowy, grały i śpiewały nasze pieśni, w salonach pełno było polskich pamiątek, a rozmowa najczęściej toczyła się o naszej sprawie. Zajęcie to głównie w nich wzbudził Niemcewicz, który pod koniec 1832 roku bawił dni kilka w Birmingham.“ Tomasz Attwood, zamożny bankier, był wtedy bożyszczem ludu, jemu bowiem przypisywano w części znacznej przeprowadzenie bilu reformy, groźbą, że jeżeli Izba lordów szybko owego bilu nie przyjmie, on sam na czele stukilkudziesięciu tysięcy robotników z Birmingham ruszy do Londynu, aby przedstawić królowi i parlamentowi żądania narodu. Ten Anglik z krwi i kości dziwnie tkliwą i czułą posiadał duszę, a przyrodzoną serdeczność zwrócił był osobliwie ku Polsce. Często powtarzał, iż radby każdego z czterech synów poświęcić umiłowanej przez

się a nieszczęśliwej sprawie. Jeden z tych młodzieńców całem sercem zajmował się historyczną i literacką stroną kraju naszego i pięknym wierszem przetłómaczył hymn narodowy, *Jeszcze Polska nie zginęła*. Drugi, William, odrazu przylgnął do polskiego wychodźcy, i jak pisze Stanisław Koźmian, „przyjaźń ta przez cały czas mego pobytu w Anglii była mi zawsze największą osłodą w smutkach i bodźcem do wytrwałości.“

Miarą wartości obu braci Koźmianów może być w części ów magnesowy pociąg dusz szlachetnych, umysłów znakomitych, ludzi wyjątkowych, którzy wszędzie i zawsze ku nim się skłaniali. Pamiętać należy, iż bylito młodzieńcy, dzieci prawie, bez majątku, bez stanowiska za granicą, a taksamo Jan we Francyi, jak Stanisław w Anglii, odrazu zdobywali sobie stosunki z najszlachetniejszymi. Wyższe serca i rozumy przeczuwają się wzajemnie, szukają zobopólnie wśród gwaru ludzi i świata, a porozumiawszy się i poznawszy, już nigdy rozerwać nie pozwolą węzła najczęściej wspólną sobie zdolnością poświęcenia ścieśnionego.

Atoli jedno jeszcze młodemu wygnańcowi ułatwiało pierwsze kroki na ziemi angielskiej. Nam, dziś na świecie nieproszonym gościom, ówczesne usposobienie Anglików dla Polski i Polaków wydaje się jakby nieprawdopodobną legendą. A jednak wspomnienia Stanisława Koźmiana dosadnie nam malują sympatye nagle zbudzone dla nieszczęśliwego narodu w chłodnym Albionie. Moda nawet tym sympatyom sprzyjała: poezye, obrazy, utwory dramatyczne z przedmiotów polskich najwięcej miały wzięcia; czasopisma najchętniej ogłaszały artykuły o Polsce; gotowano ustawiczne wnioski do parlamentu. Zwiększały się szeregi członków Towarzystwa Przyjaciół Polski. Na takim gruncie łatwiej było znaleść odpowiednie zajęcie i zdobyć sobie niezależność, byle taktem i zacnością utrzymać dobre mniemanie Anglików o polskiem tułactwie. Widzieliśmy, jak dalece cnota Niemcewicza zniewoliła serca wyspiarzy dla naszej sprawy. Niebawem Koźmian miał jeszcze stalsze w tej mierze nawiązać ogniwa. Po krótkim w Birmingham pobycie, pisze do brata: „Znam tu już wszystkie znaczniejsze osoby, przyjmowany jestem z uprzejmością, a nawet i poszanowaniem.“

I znów pisze dużo, sam, lub do spółki z angielskimi pisarzami, i donosi, że pobyt jego w Anglii nietylko jemu samemu jest korzystnym, ale przyda się i ku rozszerzeniu wiadomości o Polsce. Korespondencya z krajem niełatwo idzie, poczty nie znają dzisiejszych ułatwień, najczęściej należy wypatrywać pewnej okazyi, zwłaszcza dla listów z zagranicy, dla listów z emigracyi. Znajdujemy w dłuższem piśmie do krewnej, pani Stryjeńskiej, odbicie uczuć i zajęć młodego Polaka burzą zaniesionego na dalekie Anglii wybrzeża, w pierwszym zaraz roku swego w Birmingham pobytu:

„7 czerwca 1833 r.

...... Nie mogąc nic znaleść dla siebie ani w Belgii, ani we Francyi, pędzony chęcią poznania i wkorzenienia się na gruncie angielskim, przedsięwziąłem pomimo całej boleści mego serca, pomimo wszystkich smutnych przewidzeń, rozłączyć się z bratem, którego wiek i nieskończona edukacya wymagała dalszej applikacyi w jakimkolwiek uniwersytecie francuskim. Myślą moją było, że przy pomocy kilku przyjaciół, którzy mnie wzywali do Anglii, nietylko sam sobie wkrótce wyrobić potrafię jakowe korzystne zatrudnienie, ale nawet w przeciągu lat dwóch lub trzech znajdę podobneż miejsce dla Jasia, któregobym napewno wtenczas do siebie wezwał. Byłato jedyna droga, jaka mi została, jeślim nie chciał mego wieku na zabawie zmarnować. Już jestem blizko sześć miesięcy w Anglii. Obietnic mi nie brakuje. Mam także pewne zatrudnienie — jest wielka korzyść z mego pobytu tutaj — ale nie mam jeszcze nic stałego, nic, coby mogło mi niezależne nadal życie zapewnić. Nie zniechęcam się jednak, bo niepodobieństwem odrazu coś uzyskać. Żyję jednak zupełnie niezależnie. Opuściłem tyle ponęt mający Londyn, gdzie życie próżniacze a nawet dochód pewny mieć mogłem, dla smutnego Birmingham, gdzie co mam, wszystko sobie winien jestem. Uczę się, piszę, marzę, a najczęściej gryzę się i martwię — a to historya mego tutejszego, a może i całego życia. Nie mam ci nic więcej dodać, jak tylko że jeden dzień u mnie podobny drugiemu, a ta jednostajność nie bardzo jest korzystną, zwłaszcza w chwili, kiedy piszemy do przyjaciół, którzyby jak najwięcej szczegółów o nas wiedzieć chcieli.

Wszystko tu jest martwe, a zatem niewiele i poezyi dla mnie. Kobiety zimne i obojętne, muzyki nie usłyszysz, malowidła pięknego nie ujrzysz, a wszystko, wszystko tak ponure, że dziwię się nawet, żem jeszcze nie oduczył się sentymentalizować. Ale kiedy myślą wrócę do was, kiedy przypomnę chwile szczęśliwe spędzone w Abramowie, znowu się odradzam, aby znowu się męczyć. Kiedy przestanę być waszym aby zostać Anglikiem, wtenczas biorę znów moje księgi do ręki, wchodzę do manufaktur — uczę się najmniejszej angielskiej rzeczy — a tak postępuję, jeżeli na żałobnej i smutnej drodze, to pewnie nie bez korzyści dla mnie i przyszłego mego życia będącej. Zgoła, oddaję sobie tę zasługę, że moje postępowanie jest takie, że najostrzejszy krytyk nie mógłby znaleść w niem nagany. Ale czy dobra *konduita*, dobra, po moralnemu biorąc, przynosi szczęście? na to ci nauka obyczajowa, religia i tysiące ludzi odpowié: tak — a ja jeszcze będę wątpił. — Otóż masz dosyć tych kilku słów do zrozumienia mnie. Zamiast miłej rozmowy o dawnych dziejach, dawnem szczęściu, zamiast zapytań o waszem zdrowiu, ogrodzie lub zabawach, powiedziałem ci rzecz nową, że jestem zawsze taki nudny i zgryźliwy człowiek jak bywałem. Czy wszystko ze mnie samego pochodzi, czy zewnętrzne okoliczności nie przyczyniają się do tego?" I list dalej snuje się w tymsamym tonie, tylko na samym końcu polecenie, aby matce i bliskim donieść, że jest „zdrów i szczęśliwy," snadź nie chce ich zasmucać własnem usposobieniem. Ale smutek owych zwierzeń kreślonych w wiośnie życia, jest poniekąd przewodniem tętnem dalszych przeznaczeń młodego, a bodaj każdego poważniej myślącego Polaka. „Gryzę się i martwię, — a to historya mego tutejszego — a bodaj i całego życia." Już nam tu pisanem szczęścia nawet w domu nie znaleść, bo go niema w Ojczyznie. I Stanisław Koźmian, mimo natury nawskróś łagodnej, a do końca świeżej, czułej na piękno, na podniosłe i dodatnie wrażenia i rozkosze, przemartwił życie, gryzł się nieszczęściami kraju, gryzł niedojrzałością lub błędami rodaków, gryzł ciągłemi zawodami patryotycznemi. Na jego duszy i obliczu osiadła stale smętna szlachetnych melancholia, którą największy mówca naszych czasów porównywał do owego grotu utkwionego pod Mantyneą w ło-

nie Epaminondasa, nie dającego się wyrwać z rany aż dopiero ze śmiercią bohatera. Im gorętsze serce, im podnioślejszy duch, tem bardziej się krwawi owa rana, tem głębiej wnika wryte weń ostrze żelaza...

Pracowicie spędzone dwa lata w Birmingham nie były dla młodzieńca stracone. Wprawił się gruntownie w języku angielskim, rozległe zawiązał stosunki, dał się poznać z najlepszych stron, jął pisywać do różnych czasopism, a mianowicie do *Hull Polish recorder*, stale zapoznawając Anglików z historyą przeszłą i teraźniejszą Polski. Dla wytchnienia i pokrzepienia wyjeżdżał o milę za okopcony Birmingham, do wiejskiej siedziby Attwoodów w Harborn. Po dwóch latach przeniósł się do Londynu, gdzie odtąd przez lat jedenaście stale zamieszkał, wyjeżdżając raz po raz to na prowincyę, to na kontynent, ale zawsze wracając do obranego siedliska. Tam odrazu licznych pozyskawszy sobie przyjaciół, zbliżył się do głównych politycznych i literackich przywódzców, i jął coraz częstsze posyłać artykuły o Polsce do wpływowych czasopism. Z notatki dotyczącej jego ówczesnej piśmienniczej działalności, wypisujemy następujący ustęp: „W *Monthly magazine* wydrukowano kilka moich szkiców: Sceny z sejmu polskiego, Juliusz Małachowski itd. *W Atheneum* wyszła moja Historya literatury polskiej. Następnie Historya literatury rosyjskiej w *Monthly magazine,* Dzieje Sławian w *Dublin Review,* Salvator Rosa (powieść) w *Metropolitan magazine,* The philosophy of Waltzing (powieść) w *New Monthly,* tamże o świętach wielkanocnych w Polsce, The Georgics of Poland w *New Quarterly Review,* i wiele innych prac, których nie pomnę. Lecz pióro rozpuściłem dopiero nadobre, gdym zaczął pomagać lordowi Stuart w jego zachodach około sprawy naszej. On mi wciąż podawał przedmioty do listów, które umieszczano w dziennikach. Czasem, gdy się zbliżał jaki wniosek w parlamencie lub jaki festyn na korzyść Polaków, dostarczałem dwa i trzy artykuliki na dzień. Mój serdeczny przyjaciel Henry Edlin zakupił był tygodnik *The Court Journal.* Pomagałem mu w redakcyi, pisując wstępne artykuły, recenzye, powiastki. Poważniejsze prace ogłaszałem w kwartalnikach. *British and foreign Review* zamieściła kilka mych prac, *Dublin Review* poruszyła mym

artykułem o Słowianach, pierwszy raz w Anglii sprawę słowiańską i jej w przyszłości znaczenie. Ciągłem mem marzeniem było napisać po angielsku obszerną historyę polską, a po polsku historyę Anglii. Nazbierałem pełno materyału, ale do wykonania nigdy nie przyszło. Nie chcąc wyjść z użycia francuskiej mowy, pisałem także w tym języku o Augustynie, chrześcijańskim apostole w Anglii, dla zbicia twierdzeń Thierrego. W stylu angielskim nabrałem wielkiej wprawy, alem zanadto się sadził; pochlebiało mi to, że niektórzy mówili, iż mego pisania nie można odróżnić od stylu najwykwintniejszych autorów. Żałuję, bo pisząc poprostu, byłbym może jakie porządne i użyteczne wydał dzieło. Nie mogę także odżałować, żem się nie wziął w Anglii, póki wszystkie źródła miałem pod ręką, do historyi angielskiej po polsku. Wśród takich zajęć, a może też i z przeświadczenia, że nie mam talentu poetycznego i tylko rymować się nauczyłem, zaniechałem pisać wierszy polskich. Tylko w czasie wędrówki w Pyreneach w 1835 r. skleciłem kilka sonetów. W parę lat później ciężka choroba, smutek, który mnie następnie opanował, z drugiej znów strony widzenie się z rodziną w roku 1838, przybycie Ulrycha do Londynu, obudziły we mnie dawną żyłkę. Z Ulrychem zaczęliśmy tłómaczyć Szekspira. Ja pięć sztuk przełożyłem. W owym czasie posypało się z mego rogu smutnej obfitości pełno sonetów i wierszy różnych. Wiersz do Lamartina i kilka sonetów *Kronika* drukowała. Pisywałem też o polityce do *Dziennika Narodowego.* W rozmaitych czasach zaczynałem kilka utworów większego rozmiaru, ale zawsze mi coś przeszkodziło, a spłoszone natchnienie nie chciało potem wrócić. Tak spełzły na niczem *Listy do Matki*, w których chciałem wypowiedzieć wszystkie tęsknoty wygnańców."

Notatka ta wybiega po za zakres pierwszych lat pobytu w Londynie, ale wspomina o pochopie nadanym talentowi i pracowitości młodego Polaka, odkąd się znalazł przy boku lorda Dudley Stuart. Imię to, podobnie jak nazwisko hr. Montalembert, pozostanie na wieki w sercach i wdzięcznej pamięci Polaków. Obydwaj zrozumieli oni wielkość spraw po ludzku przegranych, obydwaj całą duszą ukochali naród nasz, a wszystkiemi siłami za jego się krzywdę upominać nie prze-

stawali. Montalembert przeważnie orędował wymownym głosem, świetnem piórem, zapałem niecącym wkoło iskry współczucia. Lord Dudley Stuart nie ograniczał się na słowie, ale czynnem miłosierdziem dla polskich rozbitków stwierdzał swe przekonania i życzliwość. Nie tu miejsce rozpisywać się o tym najszlachetniejszym człowieku, który wyłącznie oddając się na usługi sprawy polskiej, stał się słowami Stanisława Koźmiana opatrznym posłannikiem, opiekunem, pocieszycielem naszym.

Towarzystwo literackie Przyjaciół Polski — *the literary association of the Friends of Poland* zawiązało się w roku 1832. Zrazu przewodniczył mu poeta Tomasz Campbell, następnie Tomasz Beaumont, członek parlamentu i jeden z najzamożniejszych panów w Anglii. Atoli główny wzrost i znaczenie stowarzyszenia przypisać należy usiłowaniom lorda Dudley Stuart, gdy w r. 1834 stanął na czele szlachetnego przyjaciół Polski grona. Chociaż bowiem piastował tylko skromny tytuł wiceprezesa, sam, można powiedzieć, streszczał w własnej osobie całą Towarzystwa działalność. Aczkolwiek pasowany urodzeniem i zdolnością na najwyższe w kraju dostojeństwa, podjął on raczej trudy prostego bióralisty, nie szukając innych nagród, okrom pociechy własnego sumienia. Żadna klęska ani niewdzięczność, nie zdołały jego poświęcenia nadwątlić. Owszem, nietylko kochał on Polskę, ale nadto w przyszłość jej wierzył i te własne uczucia w innych przelać usiłował stale. „Zawsze z pogodnem czołem, z słowem pociechy na ustach, z rozwartem sercem dla każdej niedoli, wpośród tylu zniechęceń, potwarzy, napaści, jednostajnie godło Polski niósł górą a przodem; zdało się jakoby Opatrzność dała go nam na przykład najpotrzebniejszej cnoty. O ogromie prac jego żaden opis nie zdoła dać wyobrażenia“ [1]). I tu Koźmian wspomina, jak każda prośba polska, każda składka na Polaków przez ręce zacnego przechodziła lorda, jak sam redagował przedstawienia do rządu, objaśnienia dla członków parlamentu, wiadomości do gazet, sam niósł pomoc emigrantom, wyszukiwał im zarobek, z wyrozumiałością przebaczał błędy i winy kompromitujących

---

[1]) Anglia i Polska, t. I, str. 118.

sprawę narodu Polaków. Znalazł był pomocnika w osobie Williama Birbeck, syna sławnego filantropa, który jako sekretarz honorowy Towarzystwa, dzielił prace samego przewodnika. Atoli w tym nawale zajęć, mozołów, pisania i przeglądania odbieranych pism, ludzkie siły nie wystarczały. Niebawem poznawszy znamienite przymioty umysłu i serca cechujące młodego Koźmiana, lord Dudley przybrał go za czynnego sekretarza *Towarzystwa Przyjaciół Polski* i do boku swego przywiązał. To ustaliło stanowczo położenie młodzieńca w Anglii, znalazł dach, opiekę, zajęcie, a w zetknięciu z zacnym i szlachetnym mężem ukształcił i rozwinął własne zalety. Jednocześnie pod taką komendą zaprawił się do pracy regularnej a olbrzymiej. Odtąd raz po raz w listach znajduje się wzmianka, że do rana pisał lub pracował z lordem Dudley Stuart, że tenże przez noc całą go nie puścił od siebie, że przyszło obrabiać ten lub ów wniosek do parlamentu, tą lub ową przemowę, list, manifest, sprawozdanie, artykuł o kwestyi polskiej. Własna korzyść tu zawsze na drugim, na ostatnim planie. Służba publiczna, dobro kraju celem wszelkich zabiegów. Obaj bracia Koźmianowie za młodu z ust ks. Adama Czartoryskiego usłyszeli byli, że książę Czarny na tarczy swojej nosił wypisane hasło: *Ich diene,* które i nasz książę Niezłomny obrał był za dewizę życia, a po nim i za jego przykładem wzięli ją i młodsi pracownicy. X. Koźmian w ostatniej jeszcze do uczniów przemowie owe godło przypominał, każdemu zalecając służyć bez wytchnienia, służyć wytrwale wszystkiemu, co szlachetne, co dobre, co wzniosłe. Na różnych posterunkach danem było obu Koźmianom tę świętą sprawować służbę. Stanisław w Anglii rozdziela się wciąż między ogólnym interesem kraju a pojedyńczemi usługami oddawanemi wygnańcom. Z szczupłych dochodów jeszcze się z nimi dzieli, wyszukuje im miejsca, najściślej łączy z Ulrychem i Fontaną, z dawniejszymi kolegami warszawskimi. Szeroko w świecie, i to najlepszym świecie angielskim zawiązane stosunki, ułatwiają mu rolę pośrednika. Kto zna wyłączność arystokracyi wyspiarskiej, oceni, jak wyjątkowe młody wygnaniec zdobył sobie stanowisko, gdy go widzimy obracającego się w najwyższych kołach społecznych. Snują się pod jego piórem pierwszorzędne nazwiska, obiaduje u naj-

większych dostojników, uczęszcza na wieczory zamykające się zwykle przed cudzoziemcami. Wykwintne te sfery nie wystarczają jednak spragnionemu rozkoszy duchowych młodzieńcowi. Rzuca się nadto w świat literacki, w świat artystyczny, zawiązuje bliższe stosunki z śpiewakiem Iwanowem, z Guglielmi'm, zachwyca się muzyką, wspomina świetne tryumfy panny Taglioni i Cerrito Ale głos ludzki zawsze najbardziej czaruje „Sontagowskiego“ Koźmiana. Śmierć pani Malibran nie przechodzi niepostrzeżenie w jego listach. Wspomina raz, że był na Don Juan'ie z Rubini'm, i że arya: *Il mio tesoro,* wciąż jeszcze drga i brzmi w jego duszy. Ile razy Chopin do Londynu zagląda, wraz dla przyjaciela osobne otwierają się dni radości. Chopin pisze: „Bez Koźmiana nie byłoby Londynu.“ Koźmian wspomina, że gwar Paryża spłoszył słowika, który do Anglii uciekł przed hałasem stolicy Francyi. W innym liście pisze: „Od dwóch tygodni jest tu Chopin, *incognito* — nikogo nie zna, z nikim się nie chce widzieć — a zatem dla mnie tylko samego. Z nim całe dnie, a nawet, jak przeszłą, całe noce przepędzam. On tu jest z Pleyelem, sławnym z swych fortepianów i z awantury swej żony, której szczegóły taki pożeracz dzienników jak ty, musi dokładnie pamiętać. Przyjechali *pour se régaler de Londres.* Stoją w jednym z najpierwszych hotelów, trzymają pojazd, zgoła szukają sposobu wydania pieniędzy. Jednego więc dnia jesteśmy w Windsor, drugiego w Blackwell, trzeciego idziem do Richmondu. To ostatnie powodem, że na inny raz odkładam powieść o rozkoszy moralnej z pożycia, z gry, z rozmowy z moją Seraphitą.“ Tem bowiem mianem Koźmian poufale nazywał Chopina [1]). Cały list ten wyraźnie pobytem

---

[1]) Nie jeden tylko Chopin doczekał się w przyjacielskiem kółku osobnego *nom de guerre.* Obok *Seraphity,* widzimy tu raz po raz wspominanego *Castelbianca* (Lucyana Weissenhofa), bywa mowa o *Krucyfixie,* co oznaczało Gaszyńskiego, o którym pani Delfina Potocka mówiła: *Il a l'air crucifié — et content.* Nareszcie Zygmunt Krasiński stale *Erofem* przezwany, a to ztąd, iż zacząwszy bardzo wcześnie palić cygara i fajkę, czynił to ukradkiem, wymykał się do ogrodu lub do Stanisława Koźmiana, i tam pisywał swoje powieści i palił. Nareszcie ojciec pozwolił mu palić fajkę. Zapisali koledzy

przyjaciela na muzykę nastrojony. „Chodzę często na operę. Pasta przecudna w *Medei* i w *Romeo*. *Ildegondy* jeszcze nie widziałem, bo Chopin nie chce na nudną chodzić muzykę. Koncert na pomnik Bethovena się nie udał. Mało bardzo było osób, ale dobrze egzekwowali wielką jego ostatnią symfonię. Devrient śpiewała w *Fideliu*, a Moscheles grał długi koncert. Chopin powiada, że gra jego jest strasznie *baroque*." Dwutygodniowe wakacye zamykają się odprowadzeniem Chopina do Brighton. Rzadkie są to chwile wytchnienia w smutnem i mozolnem życiu. Bieda się wzmaga wśród rodaków, wielu z nich na tydzień ledwo pięcioma szylingami rozporządza. Trzeba się krzątać, radzić, kołatać. Bale polskie przysparzają funduszów, a miewają wielkie powodzenie i znaczne przynoszą kwoty. Co rok koło połowy maja, a więc w pełnej *Season*, ponawia się zabawa w tym celu, wyrównana z politycznym wypadkiem zaciętością obcych ambasad, aby owym dorocznym przeszkodzić zabawom. Lord Dudley Stuart i jego sekretarz najczynniejsi, aby dodać świetności zabawie i przysporzyć dochodów wychodźcom. Sztandary polskie po wiewają na Guildhall lub klubie Reformy, orły nasze zdo bią sale, a wraz najświetniejsze towarzystwo gromadzi się w szlachetnym celu ocierania łez wygnańczych. Jakaż radość, gdy przychodzi zapisać przeszło tysiąc funtów dochodu czystego, lub gdy z balu wywiązuje się znów koncert lub inny środek zapukania do hojności wyspiarzy. W jednym z listów do brata czytamy: „Mam tylko tyle czasu, aby ci donieść, że zabiegi poczciwego i niezmordowanego Stuarta względem zbierania składek dla Polaków, ukoronowane zostały w tym roku najświetniejszym tryumfem. Panna Rachel, pomimo tego że pod wielką karą pieniężną powinna być w Marsylii 10go czerwca, spóźnia swą podróż o 24 godzin, aby mogła grać na benefis Polaków 10go czerwca. Będzie to *matinée dramatique et musicale*. Część muzykalna odpowie dramatycznej zbiorem talentów: Dorus Gras, Liszt, Vieuxtemps. Ale co najważniejsze — wiesz, gdzie się ma odbyć ta matinée?

---

dzień ów w kominie, jako początek ery fajkarskiej. Ztąd jego nazywano Erofajkarskim, a sam siebie w skróceniu mianował *Erofem*.

W *Stafford House*, u księżnej Sutherland. Kto wie, jak Anglicy są nieprzystępni, jak rzadko odsłaniają bogów domowych przed oczyma obcych, a osobliwie jak myśl publicznego koncertu w prywatnym pałacu nie zgadza się z pojęciami wyższego tonu, ten tylko pozna wielkość tryumfu Stuarta i całą wielką dobroć księżnej Sutherland. Dama pierwsza przy królowej otwiera swój pałac dla wygnańca polskiego; te drzwi, przez które następca tronu rossyjskiego nie miał honoru przechodzić.“ Do powyższych nazwisk mających uświetnić koncert, przybywa i Adelaida Kemble, z rodziny wsławionej mistrzowską interpretacyą Szekspira, która po raz pierwszy ma w Stafford House wystąpić. Koźmian biega za umieszczaniem biletów, cieszy się powodzeniem, ale niewielki zwolennik głośnych zebrań i zabaw, pisze, iż woli to co przed niemi bywa. „Nie uwierzysz, z jaką czułością wszyscy z najwyższej klasy pisują o Polakach. Księżna Sussex i księżna Kent przystały na położenie swoich imion na czele patronów. Dobra, poczciwa, ładna księżna Sutherland pisze: Nie mów, że mi się naprzykrzasz. Patrząc na twoje prace dla heroicznych i szlachetnych Polaków, jedno tylko złe uczucie mogłoby się w sercu obudzić — zazdrość — ale i to w tak wielkiej sprawie milczeć powinno.“ Lepiej się rozumie jeszcze gorliwość Koźmiana w zapewnieniu powodzenia tym dobroczynnym przedsiębiorstwom, gdy się znów w listach jego spotyka wzmiankę, że straszna między Polakami panuje bieda, i około 60 przy budowie dróg żelaznych pracuje. I jemu samemu nie najlepiej się wiedzie, choć zawsze gotów ostatnim z bratem, z współwygnańcami dzielić się groszem. Nieraz bardzo już mu tęskno i ciężko na duszy, na zdrowiu nawet szwankuje. Brat musiał mu zalecać poradzenie się lekarzy, bo w dalszym liście pisze, napomykając o ewentualnem zjechaniu się z matką: „Żądaną poradę wezmę zapewne od sławnego doktora uniwersalnego, M a t e r n a l L o v e, który w swojej recepcie nieomieszka przepisać mocną dozę *of Iron will* [1]). Ja jestem przekonanym, że skoro raz mama się oswoiła z ideą trudności do pokonania, nic ją nie wstrzy-

---

[1]) Żelaznej woli, alluzya zapewne do niezłomnego hartu ukochanej matki.

ma od wykonania zamiaru. Jakże my ją przyjmiemy? czy z czerstwem zdrowiem, porządną kapotą, pogodą duszy i dowodami nabytych nauk i doświadczenia? Nie wiem. Dosyć pomyśleć o tem, aby zrozumieć, ile rozkoszy, ile wdzięku na ostatnie dni życiaby jej to przyniosło. Chowaj więc zdrowie i naukę dla siebie, pogodę duszy dla obydwóch, a ja o kapotę się dla ciebie i siebie postaram."

Echa nieszczęść prywatnych i publicznych lorda Dudley Stuart niekiedy dźwięczą smutnie w tych pożółkłych kartkach. Wiadomo, iż ten szlachetny człowiek był najnieszczęśliwszym z ludzi. Żona Marya Egypta Bonaparte, córka Lucyana, urodzona w czasie egipskiej kampanii pierwszego konsula, napawała zgryzotami życie cnotliwego małżonka. Syn, utalentowany młodzieniec, spadłszy z konia nieszczęśliwie, rychło utracił wszelkie władze umysłowe i nędzny dotąd wlecze żywot. Omijały Stuarta olbrzymie spadki, prawem dziedzictwa mu przynależne, jak to miało miejsce z sukcessyą księżnej Saint Albans, która z krzywdą szlachetnego lorda oddaną została pannie Coutts, słynnej z oryginalności, hojności i zapóźnionych przed kilkoma laty ślubów z młodym swym sekretarzem, kiedy sama szósty przeszła była krzyżyk. „Żal mi bardzo Stuarta, bo onby pewno na dobre tej fortuny użył. Ale nieszczęście do każdego się przywiązuje, kto tylko ma styczność z Polską."

Może o drobiazgi potrącaliśmy w wywiązującym się z listów toku naszego opowiadania, ponieważ dyplomatyczne i polityczne zabiegi lorda Dudley Stuart, a pośrednio i jego sekretarza, znane są z książki: *Anglia i Polska*, tudzież z historyi bieżącego wieku i ponawiającej się jak widmo sprawy naszej przed forum angielskiego parlamentu, co stale bywało wniesionem przez szlachetnych przyjaciół Polski, a wykołatanem, wypracowanem, przysposobionem w części przez Stanisława Koźmiana. Sam wspomina, iż w owym czasie mało mógł się bawić literaturą, cały polityką będąc zagarnięty. Jeśli co pisał, to głównie korrespondencye o sprawach polskich do dzienników angielskich, reszta czasu przeważnie schodziła na gromadzeniu materyałów do mów i wniosków parlamentarnych dla lorda Stuarta. Niekiedy, zaniechując przelotnie roli ukrytej sprężyny, sam występował

jawnie na widownię, jak to np. widzimy z innego listu do brata: „Zapewne doszła cię gazeta angielska, którą ci posłałem. Był tam najdłuższy opis naszego meetingu. Od Ulrycha odbierzesz drugą, która cię przekona, że żaden z Polaków nie miał tyle oklasków, żaden nawet z Anglików, wyjąwszy O'Connella, ile ja. W *Standardzie* znajdziesz ważny bardzo artykuł rozumowany o Polsce. Wszystkie tu partye chcą nas mieć przy sobie. *Standard* jest to najlepiej redagowany i główny organ torysów. Jeden się tylko znalazł dziennik, który nas wyśmiał. Mnie krótko, ale dogodził w tych słowach: *a third beggarman of the name of Koźmian then tumbled for a few minutes.* Zgadzam się być trzecim żebrakiem, kiedy pierwszym jest O'Connell. Świetne to zebranie wiele tu hałasu narobiło. Dwernicki nadspodziewanie coś powiedział po angielsku, a nic, gorzej jak nic, po polsku."

Listy te często nie noszą daty ściśle oznaczonej, ztąd niepodobna nam określić stale roku, w jakim bywały pisane. Wszystkie atoli odnoszą się do owych lat przepracowanych przy boku lorda Stuarta. Pisząc ciągle w angielskim języku, miłośnik ojczystej mowy lęka się, aby nie skazić jej w sobie długiem zaniechaniem. Uprasza brata, aby zechciał mu podkreślać angielskie w stylu zwroty, ilekroć takowe spostrzeże w jego listach lub artykułach. Korrespondencya coraz się bardziej przepełnia literackiemi interesami, książkowemi sprawami, zwłaszcza gdy Koźmian w spółce z innymi wychodźcami próbuje założyć w Londynie księgarnię polską na wzór przedsiębiorstwa Januszkiewicza w Paryżu. Mniej się jednak powodzi angielskim naszym nakładcom, zachodu i kosztu i kłopotu dużo, a mało korzyści i dochodów. Nieraz po całym liście przeróżnych żądań i poleceń, sprawunków i spraw książkowych, piszący dodaje: „Ach! jakżebym chciał skończyć interesa i z tobą duchownie pohulać!" Żałoby emigracyjne i krajowe odzwierciedlają się w korrespondencyi braterskiej. Na jednem miejscu pisze, z grozą wspomniawszy wieści nowych w kraju konfiskat: „Rzuć tam za mnie jednę grudkę ziemi do grobu Kniaziewicza. Jam myślał, że on nas wszystkich przeżyje." I znów w innym liście: „Jańskiego bardzo żałuję, nietylko dlatego, że był twoim przyjacielem.

Przecież życie pokory i poświęcenia nie może mi być obojętnem.“

Zdaleka wciąż śledzi postępy brata, winszuje złożonych egzaminów prawnych, radzi, ostrzega, niekiedy nawet połaje. A charakterystyczne bywają to wyrzuty, dobrze malujące charakter Jana Koźmiana. Starszy brat z obawą do niego pisze: „Natrafiłeś tam na smutki, na chorych. Boję się, abyś o sobie nie zapomniał wśród natłoku cudzych smutków i nie postwarzał sobie ogromu nowych świętych obowiązków.“ Zawsze tasama brzmi nóta w napomnieniach braterskich: „Raduję się, że ci moje słowa dziecinne przypominają pieszczoty. Nie patrz na wyrażenia moje, często porywcze, ale na uczucie, które je dyktuje, a zawsze tosamo znajdziesz serce. Dziś znowu przybiorę powagę patryarchy. Nie ja z pewnością targać się będę i złorzeczyć poświęceniu. Nasza cała istność jest w tem słowie, a nasz koniec musi być najpiękniejszą, najpotężniejszą jego artykulacyą. Rzecz tylko chodzi, jak się poświęcać. Niech drobiazgowe poświęcenie nie zabija wielkiego. W twoim wieku, położeniu i chęciach oddanie się małym usługom, gdzie potrzeba więcej cierpliwości niż talentu — jest zrzeczeniem się tego wszystkiego, co stanowi w człowieku wiarę w podobieństwo, że może kiedyś między pierwszymi stanie.“ Szczęśliwy starszy brat, który nie ma powodu innych młodszemu czynić zarzutów, jeno wciąż miarkować popędy nie liczącego się z żadną trudnością serca, które do śmierci umiało

W ciągłej przykładu i słowa postaci
Rozdawać siebie samego swej braci.

Tymczasem wymarzone połączenie po zbyt długiej rozłące nastąpiło kilkakrotnie w Tuluzie, Pireneach i Paryżu, a następnie w czasie dłuższego pobytu w Szwajcaryi i Włoszech. Stanisław Koźmian marzył zawsze o wspólnej z bratem wycieczce do zielonego Erynu. Sam jej miał dokonać, sam zwiedzić Irlandyę i jej uwięzionego w r. 1844 liberatora. Skory zawsze do zajmujących znajomości, już od roku 1833 Koźmian poznał był O'Connella. Pięknie w często tu wspominanej książce opowiedział swoje z nim stosunki i owo pierwsze spotkanie, gdy młodzianowi polskiemu słów nie

stało, aby swe wezbrane uczucia wyrazić. O' Connell zaś tylko uścisnął Koźmiana i rzekł, podnosząc w górę oczy: „Ach! Polska!“ Było to na publicznym, na cześć jego wydanym bankiecie. „Obu nam łzy w oczach stanęły i zrozumieliśmy, że nie było to miejsce dla Irlandczyka i Polaka, by mogli sobie swobodnie wynurzyć, co im na sercu ciężyło.“ Z rozmów z O' Connellem piękne w pamięci Koźmiana zostało słowo, gdy w chwili ciężkich osobistych przykrości, kiedy mu młody Polak wyrażał współczucie, odpowiedział z bolesnem spojrzeniem: „*What cannot be cured*, *must be endured*, czemu niemożna poradzić, to znieść i przetrzymać wypada.“ Atoli wyczerpują się siły, zwłaszcza w wygnańczej tęsknocie, i mimo wzniosłej rady liberatora Irlandyi, biedni angielscy tułacze coraz większą, boleśniejszą za krajem jęli odczuwać nostalgię.

W owych latach Stanisław Koźmian aż się rozchorował z tęsknoty, i już wtenczas znajdujemy nurtującą w jego myśli nadzieję dostania się w Poznańskie. Gdyby tam osiąść w jakim cichym zakątku, gdyby odpocząć wśród swoich, toć i szczęście i zdrowieby się znalazło. Ale tylu emigrantom nawet pozwolenia na podróż do Księstwa odmawiają, że i ten jedyny promyk rozjaśniający smutki wygnańcze, gaśnie i znika. Skutecznym kordyałem na dręczącą tęsknotę, to podróż do Rzymu, dokąd w sieroctwie serca najlepiej zwracać się, jako do miasta duszy — *the city of the Soul*. Tam też jedzie w 1842 r., po drodze zwiedzając Niemcy i Szwajcaryę, aby całą zimę wraz z rodziną w Rzymie przepędzić.

Notatki z podróży jak zwykle lakoniczne, choć podróż sama ożywiona, w towarzystwie brata Jana i Ojca Piotra Semenenki. Uderza w tych króciutkich zapiskach skłonność naszego wędrowca do odwiedzania cmentarzy. Najbardziej go zachwyca w przejeździe cmentarz Monachijski, o którym wyjątkowo szerszą znajdujemy wzmiankę: „Piękny widok na Alpy tyrolskie. Cmentarz pełny kwiatów, piękne nagrobki, przed każdym urna z wodą i kropidłem. Pełno ludzi polewa kwiaty. W głębi katakumby w półkole, w środku kruchta z szklannemi drzwiami, w niej umarli kwiatami przystrojeni. Pierwszy raz nie czułem żadnego wstrząśnienia, owszem, jakieś pogodne uczucie; mile dzieciątko tuż przy drzwiach, które kobieta stroiła

w kwiaty, i drugie dziecko przynosiła, by jeszcze raz siostrzyczkę czy braciszka ujrzało. Na lewo odkrywamy grób Danielewicza, z napisem na tablicy i herbem u góry: „*Konstantemu Danielewiczowi. Wśród najwznioślejszych w Polsce umysłów wzniosłemu — wśród najszlachetniejszych serc szlachetnemu — oficerowi ostatnich wojsk Polskich, przeszytemu kulą gdy szedł na bagnety pod Ostrołęką, w lat jedenaście później zmarłemu na obcej ziemi, w 34tym roku życia po długiej chorobie w Münich, 29go marca 1842 roku. Towarzyszowi młodości całej, przyjacielowi, więcej niż bratu, kamień ten nad zimnemi zwłoki w rozpaczy położył Zygmunt Krasiński.*

„Niech śmierć i stokroć tu zwłoki twe grzebie,
Ty żyjesz, żyjesz, pod zimnym kamieniem,
Nie jesteś prochem, ni snem, ni milczeniem,
I ty wiesz w niebie jak ja kochał ciebie.

Ale dni moje prędsze były niż poseł,
Uciekły, a nie widziały nic dobrego.
Przeminęły jako prędkie łodzie, jako orzeł lecący do żeru.
Rozdz. IX. Hiob.“

Przeczę księdzu Piotrowi, żeby *ostatnich* wojsk Polskich miało znaczyć, że oni prawdziwie ostatniemi byli w myśli Zygmunta, i żeby to było dowodem zwątpienia o sprawie narodowej, które jemu przypisują. Wracamy Izary brzegami“. Ubywa wnet podróżnym towarzystwo X. Semenenki, uzupełnia się zaś rodzinny zjazd przybyciem matki, siostry, młodszego brata. Potęguje to używanie pięknych widoków, ciekawego zwiedzania wspólnie oglądanych pomników, zabytków i okolic. Na Grütli zapisują swe nazwiska „pierwszy raz wszyscy razem, jakby pewni, że tu żaden Moskal nie zajdzie.“ Dłuższy pobyt w Bernie na całe życie rozproszonym najrzewniejsze zostawia wspomnienie. Szczegółowe zwiedzanie miast włoskich odbija się w codziennych zapiskach, które nabierają coraz więcej Baedekerowej suchości i ścisłości. Nawet z pobytu w Rzymie niema ani jednego szerszego wrażenia, skrzętnie przelanego na papier. Nic, tylko echo,

co się w tym lub owym dniu widziało, kogo spotkało, co zrobiło. A szkoda nieodżałowana, bo byłto pobyt ze wszech miar ciekawy, pełno nazwisk wybitnych miga się pod piórem wędrowca, ale tylko miga. Wieczory spędza on często w liczniejszem kosmopolitycznem kole, to u księżnej Canino; to u lady Dudley Stuart; poranki nieraz się zaczynają od mszy u św. Klaudyusza. Raz po raz wzmianka, że „spotkawszy Jerzego Lubomirskiego, długo z nim rozmawiał o Zygmuncie,“ lub że z Bohdanem o literaturze dłuższy prowadzili ze sobą rozhowor. Raz jeden wspomnienie wieczoru u Zygmunta Krasińskiego bez żadnego komentarza i uwagi. Wiadomo zaś, jak miasto wieczne działało na Zygmunta i nastrój jego ducha podnosiło. Bawił on wtedy krótko w Rzymie i niewiele się dawni warszawscy koledzy sobą nacieszyli. Jak zaś to już raz nadmienić mi przyszło, zapiski te wyraźnie miały tylko służyć za drogoskazy pamięci, dla nas pozostają martwą niemal litera. Nie idąc tedy w ślad podróżnych, którzy do Neapolu dotarli, nie wracając na południową Francyę i Paryż z Stanisławem Koźmianem, raczej go znów w Anglii śledzić będziem, gdy pożegnawszy swoich, do dawnych wrócił zajęć przy boku lorda Dudley Stuart. Ale lekarstwo serdeczne nie skutkowało widocznie, owszem, po zakosztowaniu szczęścia rodzinnego życia i spotkania, nastąpiło większe jeszcze rozżalenie, tęsknota wygnańcza doszła do ostatecznych granic zesmętnienia. Listy z owego czasu coraz posępniejsze, coraz częściej powtarza się stała skarga: „Wiele miałem znów smutków.“ Dusza tak tkliwa odczuwała wszystkie udręczenia swych przyjaciół. Nietylko domowe zgryzoty lorda Stuarta, ale i żałoby padające na życzliwe sobie w Anglii rodziny, smutny cień rzucały na gorąco uczuciową naturę Koźmiana. Biedy emigranckie, wiadomość, że ten lub ów zwaryował, zastrzelił się, zmarniał na wygnaniu, dodawały goryczy powszedniej trosce. Przybyły i próby dziwnie delikatnej natury. Najlepszy z jego angielskich przyjaciół, Henry Edlin, redaktor pisma *the Court Journal*, kochał się oddawna, a jak się zdaje, kochał bez wielkiej nadziei. Uprosił Koźmiana o pośrednictwo i stanowczą z swą ukochaną rozmowę. Panna młodemu Polakowi dała do zrozumienia, iż gdyby w własnem przemawiał imieniu, nieró-

wnie przychylniejszą byłaby odpowiedź, aniżeli dla przyjaciela. Pojąć można zatroskanie tej delikatnej natury, nowy kłopot, drażliwe położenie, i to w chwili, gdy czując się bardziej niż kiedykolwiek osamotnionym, łaknął domowego życia i serdecznego zaspokojenia. Prawa przyjaźni i honoru zwyciężyły, stosunek z Edlinem na najmniejszy szwank narażonym nie został, a praca moralna wypełniła próżnię życia i serca coraz dotkliwiej odczuwaną. Po kilku listach pełnych zniechęcenia, skarg na zdrowie, na posiwiałe w 33cim roku życia włosy, następuje widoczne pokrzepienie. „Od sześciu tygodni jestem daleko zdrowszy, pisze w grudniu z Londynu; w kilka miejsc żądają mnie na Boże Narodzenie, ale chcę siedzieć w domu i załatwiać interesa. Szekspira będę nagwałt wykończał. Zagmatwałem się tu w napisaniu bardzo niemądrej powieści, co mi wiele czasu zmarnowało. Przytem Stuart ma bardzo dużo teraz do czynienia dla mnie. Nigdzie nie wyjeżdża, i ja przeto mam mniej wolności. Muszę przeglądać ogromne skrzynie z papierami po sławnym hr. Bute, o którymto powiedziano żonie Jerzego III: *Chacun a son but*. Kiedy wracam z wieczoru o godz. 2giej, Stuart czycha na mnie i często aż do 5tej rano trzyma przy interesach lub gawędzie. Tym sposobem nawet w nocy nie mam czasu wolnego. Przez cztery tygodnie pisałem wciąż artykuły o Polakach. Stuart powiada, że polemika w gazetach wiele nam zrobiła dobrego. Obchód 29go między Polakami odbył się spokojnie. Najwięcej czytano wierszy. Wrócono więc, a raczej nawrócono ze starości emigracyi do dzieciństwa. Miałoby to być dobrą wróżbą?“

Stosunek tedy z Stuartem coraz bardziej się ścieśniał, z sekretarza *Towarzystwa Przyjaciół Polski* Koźmian niemal stawał się i nieodstępnym, prywatnym sekretarzem zacnego lorda. Coraz też ciekawsze zawierał znajomości i stosunki. Tomasz Moore, irlandzki poeta, ze łzami witał tłómacza *Raj i Peri*, Urquhart, mający już wtedy swych fanatyków, niemal założyciel osobnej sekty, uznawał w Koźmianie jednego z rzadkich ludzi godnych wtajemniczenia w swe zapatrywania; Tomasz Carlyle także zapoznawał się z młodym Polakiem, ale go odrazu zrażał powiedzeniem jakiegoś grubiaństwa o Polsce, co w czcicielu Fryderyka II zadziwiać nie

powinno. Sam Koźmian pisze, że nigdy nie był tak rozrywanym i zapraszanym, tak zajętym i potrzebnym, a jednak tęskni i obmierza sobie coraz więcej życie tułacze, wygnańcze. Wtem promyk nadziei błyska mu zdala spodziewanem rozjaśnieniem w losach ukochanego brata, rękojmią pewną jego szczęścia. Zrazu tylko mętne, niewyraźne płyną ku Anglii wieści: „Kochany mój Jasiu, pisze z Londynu p. Stanisław, poczynam od przesłania ci najszczerszych życzeń na twe imieniny. Życzenia te coraz więcej nabierają kształtu. Daj Boże, aby się wkrótce uwyraźniły. List twój z listopada dał mi wiele do myślenia w tym względzie. Już więc ci rają sposób osiedlenia się w Poznańskiem, już cię swatają. — Ja boję się, aby skromność i pewna tchórzliwość, która zawsze jest na przeszkodzie osobom, co mało miały z kobietami do czynienia, i tobie nie była zawadą. Prawda że są ale jak rzadko! kobiety, przeczuwające instynktem czystość i niepokalaność męską, choćby pod najgrubszą powłoką niezgrabności. Boję się równie, żebyś nie miał tego, co mnie zawsze odpychało od niejednej miłej i bogatej, to jest trochę poetycznej pogardy dla jakiegokolwiek niższego względu w związku z niebieskiem uczuciem. Co do mnie, zawsze będę gotów opuścić Anglię, przenieść się do ciebie, a jeśli sam nie pójdę za twym przykładem, będzie dość dla mnie szczęścia przy tobie braterskie i stryjaszkowe pędzić życie. Nie mógłbym jednak nigdy zrzec się częstego odwiedzania Anglii dla zachowania tego, na com przez tyle lat pracował; a powtóre, nie wiem, czybym kiedykolwiek mógł się zająć pilnie i szczerze gospodarstwem, zwłaszcza takiem, któreby wiele trudów i niepokojów wymagało.“

Wiadomo, że już z końcem 1843 r. jenerał Chłapowski zjechał się w Berlinie z Janem Koźmianem, zrazu celem naradzenia się o potrzebie założenia pisma na gruncie chrześciańskim. Znajomość ta zawiązana przez Ojców Zmartwychwstańców, w najściślejszy miała się zamienić stosunek. W rok później pojawił się pierwszy numer *Przeglądu Poznańskiego*, a onego artykuł programmatowy odrazu jasno określał stanowisko tego rycerskiego pisma, które przez lat dwadzieścia stało na wyłomie, mimo pocisków gęsto od swoich i od obcych odbieranych, broniło prawdy, strzegło ideałów narodo-

wych, służyło z zapałem kościołowi i krajowi i może najwięcej się przyczyniło do ukształcenia w społeczeństwie wielkopolskiem tej dojrzałości, której inne dzielnice tak szczere dziś składają hołdy. Jan Koźmian osiedlił się w Berlinie i ztamtąd prowadził redakcyę *Przeglądu Poznańskiego*. Niebawem zaślubił córkę jenerała Chłapowskiego, a dom jego na *Schadowstrasse* stał się ogniskiem polskiem, katolickiem, w łonie stolicy pruskiej. Tęsknota za bratem odezwała się silniejszem jeszcze tętnem. Potrzebny był i współpracownik do rozpoczętego przedsiębiorstwa. Nie zaraz atoli mógł Stanisław Koźmian odpowiedzieć na wezwanie braterskie; zrazu tylko zdała udzielał mu pomocy, słał artykuły, wiadomości, mianowicie odnoszące się do Anglii i angielskich stosunków. Później dopiero objął stale dział krytyki literackiej, a odtąd nowe pismo pochlebić się mogło pierwszorzędnym w tej mierze sprawozdawcą. Cały ruch piśmienniczy przez lat kilkanaście odbijał się w łamach *Przeglądu* wytrawnym sądem, trafną oceną, śmiałem wytknięciem stron dodatnich lub ujemnych. Nie wahał się Koźmian nawet najbliższe zakrwawiać serca, gdy chodziło o wypowiedzenie prawdy w rzeczach smaku, piękna, prawideł estetycznych i praw literackich. A dopieroż folgował oburzeniu, kiedy należało ostrzedz czytającą publiczność przed fałszem, brudem lub złą wiarą, przed trucizną złej książki lub nurtującego w niej złego ducha. A to wszystko ujęte bywało w formę misterną, elegancką, wykwintną, wypowiedziane stylem nadobnym, z grzecznością dobrego wychowania, wykluczającą napaść rubaszną. Pod wielu względami zachodziło powinowactwo między dawnymi ze szkół lubelskich kolegami, Lucyanem Siemieńskim a Stanisławem Koźmianem. Dzierżyli oni jednocześnie berło krytyki literackiej. Siemieński miał może ostrzejsze pióro, bardziej cięty dowcip, złośliwsze zwroty; Koźmian, z natury swej łagodniejszy, w formie bywał łaskawszym, w treści jednak samej wydanego wyroku bezwzględniejszym. Piszący dzieje literatury polskiej w okresie 1845—1865 r., nie obędzie się bez czerpania w kopalniach nieprzebranych *Przeglądu Poznańskiego*, gdzie każda nowa publikacya odrazu braną bywała na pytel i wagę, nicowaną, rozbieraną aż do ostatecznego zbadania, ażali dobrego przybyło ziarna do spi-

żarni narodowej umysłowości, czyli tylko plewy, które odrzucić wypadało. Jan Koźmian słusznie ocenił talent i siły brata, gdy mu ten dział tak ważny w nowem oddał czasopiśmie. Gdy zaś po upływie lat dwudziestu zamykał znojne wydawnictwo podziękowaniem tym wszystkim, którzy mu w pracy pomogli i chętną podali rękę, na pierwszem miejscu stawiał z rzewną wdzięcznością imię swego głównego współpracownika, wymieniwszy bowiem nazwiska zmarłych a życzliwych przyjaciół *Przeglądu*, pisał dalej: „Z żyjących najdłużej, najserdeczniej i najmozolniej dopomagał nam brat Stanisław, z którym nas Bóg złączył i wspólną koleją ważniejszych przygód życia, i miłością, i szacunkiem, i nawet wielką jednością przekonań.“

Piękne to świadectwo wieńczy długoletnią wspólność szlachetnych usiłowań, aby żadnej trucizny, choćby podanej w najpowabniejszej czarze, nie dopuścić do ust narodu, żadnej brzydocie ani nawet miernocie nie przepuścić. ale wciąż prostować zdania, ukształcać sądy, wyrabiać zmysł wykwintny, rozwijać u swoich trafne rozeznawanie prawdy i piękna od mętów i plewów. Już tasama służba cicha, bezimienna, wysuniętej straży w dziedzinie umysłowości polskiej, starczyłaby na dostateczną pracowitego życia zasługę. A wiadomo, ile innych ich było i być miało jeszcze, w pełnych dniach znoju i dobrem sercem podejmowanego trudu!

Wyprzedziliśmy nieco bieg lat, aby wraz z założeniem *Przeglądu Poznańskiego* wykazać udział. jaki brał w tym złotym posiewie prawdy Bożej, mądrości politycznej i pojęć piękna w rzeczach literatury i sztuki, starszy brat naczelnika redakcyi *Przeglądu Poznańskiego*. A tymczasem, zanim przez osiedlenie się na ziemi Wielkopolskiej, wprządz się miał stale w jarzmo braterskiego spółpracownictwa, kilka jeszcze lat przeminąć miało z rzetelną korzyścią dla jego ducha i duszy. Na ten bowiem czas przypada i powtórny a dużo pełniejszy pobyt w Rzymie, i ścieśnienie młodzieńczych stosunków z Zygmuntem Krasińskim. W lecie z r. 1845 Stanisław Koźmian opuścił Anglię, dokąd już tylko raz miał powrócić, i przez jakiś czas podróżował po Belgii, Niemczech, docierając po raz pierwszy od r. 1831 aż do granic ojczystych. W Belgii zbliżył się do jenerała Skrzyneckiego, tego

chrześciańskiego żołnierza, dla którego zachował stałą cześć i uwielbienie. W Turwi przez kilka dni odetchnął rodzinnem powietrzem, a wyjechał oczarowany patryarchalnym dworem jenerała Chłapowskiego, rozrzewniony szczęściem brata, uniesiony widokiem ludu wielkopolskiego. Nie pisanem mu jednak było tak prędko na ojczystym spocząć zagonie, jeszcze go parę lat tułaczki czekało, zanim własną w kraju znalazł strzechę i ciche po burzach skołatanego życia ustronie. W treściwej notatce, podającej zaledwie główne daty obfitej w wspomnienia przeszłości, dwa następujące lata przeważnie są określone pamiątką dni wspólnie z Zygmuntem Krasińskim spędzonych. Część lata 1846 r. zeszła im razem w Heidelbergu, zimę Koźmian przebył w Rzymie, i znów w lecie 1847 r. zetknęli się w Nicei, aby następnie ponownie w Heidelbergu się połączyć. Dawna dziecinno-młodzieńcza przyjaźń nowym, gorętszym zabłysła płomieniem. Osobna karta upamiętnia owe dni niepowrotne a piękne, chwil wspólnie przemarzonych, przekochanych, przecierpianych, bo gdzie się zejdzie dwóch Polaków, dwa serca podniosłe a gorące, tam przy miłości nigdy smutku nie braknie. Nie pozostaje nam, jak wypisywać teraz ściśle szersze w tej mierze Koźmiana zapiski. „W jesieni 1846 r. mając zamiar jechania do Rzymu na zimę, zatrzymałem się w Heidelbergu, by parę artykułów dla *Przeglądu* skończyć i przeczekać porę zbyt jeszcze we Włoszech gorącą. Gdym tak cicho sobie pracował w hotelu *zum Prinz Max*, spostrzegam w miejscowej gazecie, że do Heidelberga przybył Zygmunt. Od rozstania się naszego w Warszawie, raz tylko, i to nakrótko, widziałem go był w Rzymie na początku 1843 r., kiedy się układało jego małżeństwo z panną Branicką. Mocnom się więc ucieszył, że moją samotność rozerwie kolega i przyjaciel od lat dziecinnych. Przez miesiąc cały, od 14go października do 14go listopada, byliśmy ciągle z sobą. Prawie codzień po kilka godzin chodziliśmy po górach. Kiedy deszcz padał, jechaliśmy na kolej żelazną i tam pod dachem pod długim korytarzem maszerowaliśmy.“ Inna notatka jeszcze szerzej owe dni heidelbergskie upamiętnia: „Zygmunt potrzebował wiele chodzić. Śliczne góry i przechadzki po obu stronach Nekary nastręczały sposobność długich i miłych wycieczek. Codzień więc dalekie

odbywaliśmy spacery. Lubił on także przesiadywać między ruinami zamku, i gdy groziła niepogoda lub czasu brakło, po terasie tegoż zamku chodzić. Jeśli już deszcz na dobre się rozpadał, jechaliśmy do dworca kolei żelaznej i tam po długim korytarzu, często wobec zdziwionej publiczności i służby, odprawialiśmy sążnistemi kroki naszą parogodzinną bieganinę. Nieraz nastarczyć mu nie mogłem. Pomnę, jednego wieczora poszliśmy daleko w góry. Nagle mgła nadciągnęła, tak, że się zupełnie zaćmiło i droga prawie znikła nam z przed oczu. Szedł jednak żwawo naprzód samym brzegiem, nad niebezpieczną w wielu miejscach pochyłością; musiałem co chwila go przestrzegać albo prosić, aby zwolnił kroku. Ale on na nic nie zważał, tylko wciąż wydobywał coraz dziksze obrazy i fantazye z tych obszarów ciemności. W takim razie podnosił głos do natchnionego tonu i zdawał się jaki dantejski poemat improwizować. Droga coraz pochylej spadająca, mgła coraz gęstsza, straszna duszność w powietrzu, mogły w istocie wzbudzić w nas złudzenie, jakobyśmy po dantejsku zstępowali do piekła. Wrażenia nasze jeszcze się wzmogły, gdy dochodząc do miasta, na samym skręcie, gdzie od ruin zamku spuszcza się droga na dół, przeleciał nad naszemi głowami tak świetny meteor, że się zdało całe miasto w płomieniach. Miejsce to miało odtąd dla niego jakieś dziwne znaczenie, tembardziej, że w pobliżu sterczał na skale dom kata, który ściął Sanda. Ilekroć tamtędy przechodziliśmy, zawsze wskazywał na dom, mówił o skrwawionym mieczu i czerwonym człowieku. W czasie takich przechadzek nietylko o ogólnych mówił przedmiotach, ale zstępował do najtajniejszych osobistych zwierzeń. Zdało się, że nie było nic tak tajnego i tak ważnego, czegoby mi nie powierzył. Skwapliwość, z jaką to czynił, choć ja raczej wstrzymywałem go niż popychałem ku temu, przekonywała mię, że nietylko była w tem chęć okazania mi nieograniczonej ufności, ale zarazem potrzeba jego zbolałej duszy... Oczywiście, że w rozmowach naszych najczęściej nasuwało się nam okropne położenie ojczyzny. Jeszcze nie przewidywaliśmy, że mogło być okropniejszem. Zbolałe jego piersi były pełne jęków zwątpienia, ale zawsze corychlej z tego się otrząsał i oddawał się uniesieniom najwspanialszych nadziei. Kto go

w takich razach nie słyszał, nie ma nawet z jego dzieł wyobrażenia, czem było to żywe, natchnione, prorocze słowo. W jego ustach najpospolitsze zdanie nabierało uroczystej okazałości." Tymczasem w codziennych zapiskach codzienną też znajdujemy wzmiankę o Zygmuncie, o treści wspólnej rozmowy, to o liceistach kolegach z Warszawy, to znów o wspólnych przyjaźniach lub cierpieniach. Raz chodząc po gwieździstej nocy, rozmawiają o Napoleonie I, o jego śmierci na wyspie Ś. Heleny. Przytoczony cytat, może słów Zygmunta: *Il conduit à sa suite des milliers de fidèles sans solde.* Na ćwierć wieku przed Sedanem legenda Napoleońska jeszcze wywierała osobny czar na umysłach jej wielkością olśnionych. Innego dnia przypomnienie zdania jednego z wielkich książąt o Zygmuncie: *„C'est l'homme qui depuis dix ans nous a fait le plus de mal en Europe."* Rok tylko wieku ich rozdziela, Koźmian rodził się w r. 1811. Zygmunt 19 marca 1812 r. Chodząc często do Heliusa, nieraz obydwaj na swe fizyczne niedomagania narzekają. W lakonicznych zapiskach znajduje się dwusłowna wzmianka o *Polnische Krankheit*, może tak uczony lekarz zwał rozstrój nerwów, ból serca, skołatanie umysłu tak częste, tak naturalne u Polaków. Codzień wpisany temat rozmowy, gołosłownie, bez żadnego rozwinięcia; raz była mowa o kobietach, to znów o małżeństwie, o sztuce, o ile z lakonicznej notatki wnioskować można. Koźmian broni idei zwycięstwa ducha nad ciałem w sztuce, Zygmunt harmonii jednego z drugiem. Nadjeżdża Trentowski, który się raz do przechadzających się przyjaciół dołącza. Długo rozmawiają, dyskutują, Trentowski snuje najdziwaczniejsze bałamuctwa historyozoficzne, wkońcu dochodzi do twierdzenia, iż pierwiastek pogański trwa dotąd w Kościele, że chrystyanizm przejdzie jak inne religie, że nie ma historycznego dowodu o istnieniu Chrystusa. Nigdy nie dodający komentarzy do swych zapisków Koźmian, tu kładzie akt dorażnej skruchy: — „O Boże, Boże, daruj mi, żem cierpliwie tych bluźnierstw słuchał!" — Dalej ubolewa, że Zygmunt nie dość żwawo odpierał Trentowskiego, „choć kilka dowodów dobrze przytoczył, np. że ucieczka Chrystusa znaczy cierpliwość, co jest wyższym stopniem męstwa; kto tylko czyta Ewangelię, ten widzi, że musiał być Chrystus; który z innych życiem

swem w praktyce swe prawdy zapieczętował? Jeśli niema dowodów w łacińskich pisarzach, że żył, to gdyby był nie żył, przeciwnicy, którzy mieli archiwa, pisma równoczesne, którym chrystyanizm groził polityczną zagładę, nie byliby omieszkali dowieść faktu, który obalał całą podstawę chrystyanizmu. Rozstaję się z nimi u drzwi hotelu. Nie idę wieczór, bo już dość się nasłuchałem.“ Lepiej im razem po wyjeździe Trentowskiego, zwłaszcza gdy rodzina Zygmunta przybywa i długoletni wygnaniec cieszy się dziatkami przyjaciela, zapisując, że „mały Władyś już rączki za Polską składa.“

W listach z owego w Heidelbergu pobytu przebija się wymownie radość ze spotkania przyjaciela. Już 17 października pisze do bratowej: „Pojawił się tu Zygmunt. Nie potrzebuję wam mówić, ile z nim mam przyjemności i korzyści, bodaj wzajemnej. Całe dnie schodzą nam na rozprawach. Zdrowszy daleko, skarży się, że mu umysł zleniwiał, ale za to ciało się wzmocniło. Serce gorące, myśl lotna, ale ładu i spokoju jeszcze za mało. Zapóźniony poeta. Powiada, że się dotąd ocucić nie może po ostatnich wypadkach. Cały zajęty Rzymem i Papieżem, zkąd często o Papieżu rozprawiamy.“

W parę tygodni później znów nowy list szeroko o Zygmuncie wspomina: „Tutaj upływa mi dzień po dniu taksamo. Długie i żwawe toczymy boje. Nie zgadzamy się w wyższej sferze pojęć, ale doskonale oznaczyliśmy sobie, gdzie różnica i gdzie jej źródło. Co do sprawy, w zupełnej jesteśmy jedni. Jak wszyscy, odurzony wielkością ciosu, pomiarkować się jeszcze nie może; że z błota nic dobrego wyjść nie może, że przez mordy do niczego wielkiego dojść niepodobna, to nikt głębiej nad niego nie czuje. Całą duszą gromi myśl małpowania Francuzów. Co tam ślizganiną wypadków przyszło, to nasi sobie za cel, za inicyatywę wypadków biorą. Zapewnie przesadnie, ale on jest przekonany, że „niewola wsączyła jad,“ że cała ziemia już jest podnurtowana ideami bratobójstwa i kommunizmu, że młode pokolenie jest w ciemię uderzone, nie zna Boga, jedno z rozpaczy przyzywa choćby najstraszniejszy zamęt, w głupiej nadziei, że może się coś z tego wyrodzi. Jaka na to rada? on o podniesieniu ducha o nowej fazie chrześciaństwa ślicznie poetyzuje, od-

słuchać się go często nie mogę; przeto nie przestaję mu zawsze dzwonić tę moją prostą, banalną może ale prawdziwą legendę: u nas taki jest zamęt, rozstrój, mięszanina, — duch nasz rozbiegł się na takie obszerne koła, że dziś nawet ci, którzy bystrą myślą poglądając, rozumieją daleką przyszłość, cel nowej epoki, mają obowiązek skurczyć się, ściągnąć swój milowy rozbieg w cal dzisiejszej potrzeby naszej; bić młotem razem z pomniejszemi na złe, na przeszkodę obecnej godziny, razem z nami biedakami powiedzieć sobie: *sufficit diei malitia ejus* — hamować się wszelkiej rozbujałości, choćby nawet ze szkodą poetycznych potoków; jednem słowem, zabrać się do gospodarstwa, do hreczkosiejstwa na polu umysłowem, urządzić się w sobie, pogodzić się z Bogiem, nabrać spokoju, jasności, dopełnić się każdemu w sobie reformą własnej indywidualności i czekać na sposobność i na myśl do działania gromadnie, ogółowo, do zestawienia się w jedno ku jednemu wyraźnemu celowi. Ależ widzę, żem się i ja w peryodzie rozpędził, i zamiast dzisiejsze usposobienie Zygmunta wam opowiadać, wyłuszczyłem wam to, co wy daleko lepiej odemnie wiecie. Jaki dziś obowiązek szlachty, na to zupełnie się zgadzamy, — to wszyscy widzą."

Piękny ten list dosadnie maluje wewnętrzne dojrzewanie i wyrabianie się Koźmiana. Już wtedy stanął był na wyraźnie określonym gruncie katolickim, a ta podstawa nadawała mu właściwą sobie jasność poglądów, będących odbiciem wiekuistej Prawdy. Niedarmo często wracał był w ostatnich latach do Paryża, stykał się był z zawiązkiem Zmartwychwstańców, nawiedzał ich w Rzymie. Burza Towiańszczyzny na przetak wzięła umysły całej emigracyi, — słabsi a pyszniejsi zginęli, silniejsi, bo pokorni wynieśli nowy zasób wiary i wierności Kościołowi z chwilowego zamięszania umysłów. Koźmianowie należeli do tych ostatnich: zamiast się dać omamić blichtrem fałszywego proroka i złudnego mistycyzmu, tem skwapliwiej skołatane serca utwierdzili na Piotrowej opoce, i w praktykach szczerej a prostej pobożności szukali zaspokojenia dusz łaknących pociechy. Jan, jak zwykle, żarliwie wybiegał naprzód, ale i w Stanisławie widnieje coraz większe religijne ożywienie. W codziennie prowadzonych zapiskach, gdziekolwiek tułacze obróci kroki, często

i coraz częściej wspomina odbytą spowiedź, a z natury swej dusza nawskróś chrześciańska, do całkowitej w tej mierze powraca harmonii. Ujęcie uczuć i pojęć religijnych w twarde a proste karby zasad katechizmowych, rychło u Stanisława Koźmiana w całej nastąpiło pełności. A ztąd zbawienny wpływ wywierał i wywierać musiał na skłonny do jakiegoś osobnego i osobistego mistycyzmu umysł Zygmunta. Lecz niedarmo pisał o zobopólnych z tego spotkania korzyściach. Zbliżenie ku sobie dwóch dusz szlachetnych, zwykło wzajemnie im na dobre wychodzić. Jeśli Koźmian wybujałość fantazyi przyjaciela miarkował granicami prostej wiary i prostego obowiązku, ten w nim nawzajem rozniecał nieśmiertelne iskry poetycznego natchnienia. Płomień chwilowo w duszy Zygmunta uśpiony, jakoby w sercu przyjaciela zapłonął najpiękniejszym błyskiem twórczości. Słusznie twierdzić można, iż pisząc wiele i wierszem i prozą, pisząc nieraz z wdziękiem a nawet siłą, nigdy się Koźmian wyżej nie podniósł, ak w owem pełnem ognia zaklęciu noszącem tytuł: *Do mistrzów słowa!*

Mistrze słowa, wy milczycie!
Któż nadzieję nam przechowa,
Kto z omdlenia wyrwie życie,
Gdy milczycie, mistrze słowa!

Następuje odezwa z kolei do Zygmunta Krasińskiego do Mickiewicza, do Bohdana Zaleskiego, a skala natchnienia i zaklęcia coraz wyżej i wyżej podnosząc, rozpływa się nareszcie w parafrazie Litanii do Najśw. Panny. Wiersz prze pyszny, w owej chwili grozy i goryczy pełnej, osobną miał doniosłość i znaczenie. Powstał zaś w Heidelbergu, i oto jak nam autor daje genezę owego wzniosłego utworu:

„Zygmunt był wtedy bardzo stroskany; gnębiło go wspomnienie wypadków galicyjskich; mówił mi, że już mu wypadło pióro z ręki i że już nigdy nic nie napisze. Ja tłómaczyłem wtedy Szekspirowego *Leara*. Musiałem mu codzień odczytać, com wieczór wytłómaczył. Wtedy przyszła mi myśl napisania: *Do mistrzów słowa*. Korrekta przyszła 13 listopada, właśnie w wilią wyjazdu Zygmunta. Jak zwykle, przy-

był do mnie nad wieczorem i zastał korrektę na stole. — Ot, patrz (rzekłem), co mi przysyłają z Paryża jako ciekawość. Zygmunt czyta i wciąż woła: — Ale czyjeż to, czyje? W jednem miejscu zatrzymuje się i powiada: *Aut diabolus, aut Słowacki.* Ja mu przekładam, że Słowacki byłby to daleko dzielniej napisał. Napomykam, że może Komierowski, towiańczyk, który był wtedy jakieś wiersze wydał. Zygmunt czyta dalej. Gdy przyszedł na wyrazy:

I stanie się cud —

zaczyna spoglądać na mnie niedowierzającem okiem, bośmy oba często te wiersze Mickiewicza powtarzali. Nareszcie napada na słowa wymierzone do siebie i przeczytawszy owe:

Weż w natchnienie, wyjdż na Synaj,
Ty najmłodszy, najmilejszy, —
A zeszedłszy grom, zaklinaj,
Póki dzisiaj się nazywa
Dzień dzisiejszy.

— To ty, krzyknie, nikt inny być nie może. Zajechałeś mi pod samo serce; o, odpowiem ci, odpowiem! — Wieczór, po swoim obiedzie jeszcze raz do mnie przyszedł z prośbą, bym zmienił wyraz *koronny* [1]). Długośmy szukali odpowiedniego przymiotnika. Nareszcie zgodził się na *tajemny.* Żona jego z Adziem już od kilku dni bawiła w Heidelbergu, wyjechał z nią 14go. Ja dopiero na Boże Narodzenie zdążyłem do Rzymu.“

Oczywiście, po podobnem zbliżeniu się do siebie i ścieśnieniu dawnego węzła przyjaźni, rozłączenie nie przerywa ponownie zawiązanych i serdeczniejszych jeszcze stosunków. Zaraz w parę tygodni po rozstaniu pisze Zygmunt z Nicei: „Na zawsze, kochany Stanisławie, pamięć dni heidelbergskich należeć będzie do lubych wspomnień mego życia. Nie gorzkie to dni bytu — a więc szczęsne.“ „Kiedy masz czas, to pisuj; bogatą mi zawsze skarbnicą pełną wiadomości twoje listy,

---

[1]) „Gdzież koronny mistrzu słowa,“ — początek apostrofy do Zygmunta.

a twoja pamięć drogą sercu serdecznością. Przecież my się od przedpotopowych czasów znamy. Razem kierowaliśmy się kiedyś na wolnych ludzi, razem od lat 17 albośmy wygnańcy, albo niewolniki. Kochaj człowieka, który z głębi serca cię kocha ową instynktową, roślinną, rodzinną miłością pierwszych lat, wspomnień, wrażeń, koleżeństw życia, nieodnalezialną już później w dalszych żywota rozwojach.“ — Luty. Maj. 1847. Odtąd też Koźmian częste z Zygmuntem listy zamienia, a owa korespondencya osobne odtąd w jego życiu miejsce zabiera. Nawet w Rzymie wśród rozlicznych a podniosłych wrażeń, wciąż w dzienniczku zapisuje, iż wrócił do domu, aby wieczór długo listownie z Zygmuntem rozmawiać; albo znów od niego list otrzymał i czytał, w tych lub owych nieśmiertelnych ramach, jakich w Rzymie nie braknie do oprawiania potocznych dnia wzruszeń lub zdarzeń. A byłto pobyt osobliwie bogaty w wrażenia, w rozgrzanie duchowe, w wpływy zbawienne. W ukrzyżowanem życiu Piusa IX, rok ten promiennie jak zorza występuje. Mnóstwo naszych zbiegało się do Rzymu, aby u stóp i przy sercu młodego Papieża złożyć swoje doczesne troski i nadzieje. Jakieś odrodzenie religijne zdawało się zapowiadać bliską świata całego renowacyę. Odbicie tych blasków zarania, które miały być niebawem chmurą europejskiej rewolucyi przyćmione, znajdujemy i w urywkowych zapiskach Koźmiana... Ledwie stanął w Rzymie, biegnie do Matki Makryny, jej prostotą się zachwyca, z nią klęka przed obrazem *Mater admirabilis* w Trinita dei Monti, aby Litanię do Matki Najświętszej odmawiać, powtarzając po trzykroć niektóre wezwania. Przy rozstaniu Matka Makryna napomyka coś swemu gościowi o potrzebie poświęcenia. Odtąd przez resztę pobytu wciąż bada siebie samego, ażali nie usłyszy głosu Bożego powołania; waha się, waży, namyśla. Myśl ta potęguje się pod wrażeniem śmierci Stefana Witwickiego, która do żywego porusza nieodstępującego przyjaciela. Zaraźliwy charakter strasznej choroby (czarna ospa) nie zdolen odstraszyć czułego poświęcenia. List donoszący o śmierci Witwickiego, pełen bólu i zesmętnienia. „Przygotowani być musicie na smutną wiadomość, którą wam we łzach donoszę. Wczoraj (19 kwietnia 1847 r.) Stefan skonał o 5tej po południu. Ostatnie chwile

były bez przytomności, może nawet bez cierpienia. Już wiecie, że z środy na czwartek dostał mocnego uderzenia humorów na głowę. Przez 48 godzin leżał w odrętwieniu. W piątek wieczór oddech stawał się coraz cięższym i krótszym. Lekarz twierdził, że lada chwila skończy. Posłano do Matki Makryny, aby się modliła w tej ostatecznej chwili. Odpowiedziała, że się dzień i noc modli ze wszystkiemi siostrami. Około 9tej ocknął się, zażądał Wiatyku; tyle był przytomnym, że gdy mu chciano dać rozgrzeszenie, nie chciał go otrzymać, aż póki ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem nie przyjdzie. Choć o liście i odpowiedzi od Matki Makryny nie mógł żadnym sposobem wiedzieć, zapytał: A gdzie odpowiedź od Matki? Układał hymny na chwałę Chrystusa. Przez całą sobotę znacznie był lepiej. Mówił wiele, bez ładu ale nie bez myśli. Ciągle mu się zdawało, że gdzieś jedzie, tylko go nie puszczają. — Jabym, mówił, był zdrów, gdybym miał wolność, ale w niewoli mnie trzymają, więc nie moja wina. Powtarzał: Co to inne cuda, oto Chrystus na mnie największy sprawuje. Wczoraj od rana już nic nie mówił. O wpół do 5tej począł konać. O 5tej już go nie było. Boże, świeć nad jego duszą.

„Dziś wieczór przeniesiony będzie do S. Andrea delle Fratte. Jutro msza żałobna i pogrzeb.

„Mamy tu prawdziwy lazaret. Jenerał Klicki także mocno zapadł. Boję się, aby nie poszedł za Stefanem. Brodziński i Wojczyński, Niemcewicz i Kniaziewicz, a teraz może i ci dwaj przyjaciele.

„Wszyscyśmy niemocni. Byleśmy tylko te ciężkie próby z zupełnem poddaniem się woli Bożej przyjęli!“

Śmierć Witwickiego, prawdziwego apostoła emigracyi, żywo wszystkich poruszyła. Trumnę jego złożono obok zwłok Bohdana Jańskiego. Krzyż z relikwiami polskich patronów, który w chwilach ostatnich trzymał i całował, dostał się w najdroższej spuściznie Stanisławowi Koźmianowi. Wysoko on cenił sobie tę pamiątkę, pragnął sam umierać z tem godłem zbawienia w ręku, wspomnieniem Witwickiego ukrzepiając się na drogę wieczności. Po własnej zaś śmierci, uprzedniem życzeniem i listem, cenną pamiątkę przekazał wnukowi Zygmunta, Adamowi Krasińskiemu... Spełniły się

te oba życzenia, jeden i tensam prosty krzyżyk drewniany, o trzydzieści kilka lat odstępu, okryty został ostatniemi westchnieniami umierających przyjaciół, aby spuścizną szlachetnych przejść w niewinne ręce dziecka, na którem spoczywa duch i błogosławieństwo dziadka...

Jen. Klicki poszedł niebawem za Witwickim. Umarł niemal w chwili pogrzebu przyjaciela, tak, iż exekwie za obu razem zostały odprawione. I znów Koźmian do ostatka pielęgnował starego żołnierza. „Tak smutkiem nawrzałem, pisze do brata w onych dniach żałobnych, że o czem innem już myśleć nie mogę. Jakkolwiek wrażenie tego świeżego wypadku jest głębokie, czuję, jak ono się rozwiewa, a z tyłu czarniejszy smutek po Stefanie występuje. Jakże-bo się z takim oswoić? W papierach znaleziono tylko dwie powiastki moralne. Przy wolniejszym czasie pozbierałbym wszystkie szczegóły jego choroby i zgonu. Ostatnie jego słowa były: Jedność, zgoda, miłość, błogosławieństwo między wami.“

I znów myśl kapłańskiego powołania w nim się budzi i waży. Czyż postanowienie niewykonane przez Witwickiego, jemu w spuściznie spełnić nie należy, zająć miejsce opróżnione śmiercią Bożego sługi? Ostatecznie jednak jasno w sobie nie widzi, owszem, jak zwierza się bratu „nawet w tych chwilach duchowego podniesienia, odurzenia prawie, jeśli ma jaką myśl swobodną, ta mu wskazuje, że raczej za jego przykładem iść powinien“ i do rodzinnego w świecie życia czuje się przeznaczonym. Modlitwą o światło, coraz częstszą praktyką religijną, radą takich mężów, jak O. Kajsiewicz i sławny dusz kierownik O. Villefort S. J., znajduje zaspokojenie i odpowiedź na pozostałe wątpliwości co do drogi, jaką Bóg go dalej chciał prowadzić. Pobyt w Rzymie dziwne, trwałe przynosi mu ogrzanie, zasób ciepła na całe życie. Niedarmo zaraz na początku wspomina kazanie Ojca Hieronima na temat, że dziś tak zimne czasy, iż tylko dobrze ogrzany nie ostygnie. Koźmian mnoży środki zaskarbienia sobie obfitych zapasów Bożego płomienia, aby później nie dla siebie tylko samego z tej spiżarni czerpać, ale jeszcze braci obdzielać i gorącością własnej wiary, własnego zapalać serca.

Z pomiędzy koła licznych a miłych Koźmianowi znajomych, goszczących wówczas w Rzymie, wymienić należy

Norwida, a zwłaszcza Lucyana Weissenhofa. Imię tego ostatniego wciąż się wplata w codzienne zapiski wygnańca, snadź wiele z sobą obcowali, rozmawiali i chodzili po mieście wiecznem. Nowa też a wspólna wiązała ich tajemnica. Tu znów wypada nam wrócić do notatki Koźmiana o swych z Zygmuntem Krasińskim stosunkach:

„Był wówczas w Rzymie Lucyan Weissenhof. Ten będąc w Genewie dla widzenia się z Sobolewskim, zboczył do Zygmunta do Nicei. Wracającemu do Rzymu powierzył Zygmunt poemat *Ostatni* z zaklęciem, abym ja to wydał w Paryżu pod mojem nazwiskiem lub przynajmniej pod pseudonimem autora *Do mistrzów słowa.* Napróżnom przedstawiał mu, że po stylu każdy pozna czyje, a jeśliby nawet nie poznał, to wnet zrozumie że ja, tak lichy wierszopis, nie byłem zdolny coś tak wspaniałego napisać, ztąd pójdą domysły, szperania, aż wreszcie natrafią na prawdę. Nie było rady. Zygmunt nalegał. Przyjąłem ten ciężar. Dla takiego serca każda ofiara była miłą. Rzecz dziwna, niewinne to oszukaństwo udało się wybornie. Najpierwsi literaci winszowali mi tak znakomitego dzieła. Zygmunt zaklinał mnie, żebym, wracając z Rzymu, przyjechał do niego na kilka tygodni do Nicei. Przybyłem tam 9go czerwca. Ledwiem stanął w Nicei, Zygmunt z nową prośbą. Ponieważ wydanie *Ostatniego* tak się udało, błagał mię, żebym także przyjął na siebie *Dzień dzisiejszy.* To była odpowiedź na moje wiersze i tytuł z nich wzięty. Tu jeszcze trudniej było mi się wymówić. Gaszyński był wtedy w Paryżu i korektę prowadził. W czasie lata tegoż roku spotkawszy się z Andrzejem Koźmianem nad Renem, pierwszy raz dostrzegłem, że zaczynają ludzie powątpiewać. Błagałem Zygmunta, żeby mi pozwolił choć Andrzejowi rzecz wyjawić. Żadną miarą nie chciał się zgodzić. Przystał tylko na to, że mój brat Jan przypuszczony będzie do tajemnicy. Raz była śmieszna scena. Ciekawy i wciąż świdrujący Andrzej, gdyśmy się gdzieś z Zygmuntem zjechali, pono w Heidelbergu, czytał nam całego *Ostatniego,* by nas złapać na słówko. Zygmunt ostro krytykował i dowodził, że napisanie takiego utworu właśnie nie w naturze jego talentu leży. W parę lat później mówił mi, że Mickiewicz odgadł odrazu. Gdy się Zygmunt zapierał,

Mickiewicz mu powiedział: I ja się wahałem, ale gdym przeczytał te dwa wiersze:

Z Chrystusowej zejdź Kalwaryi
Do moskiewskich kancellaryi,

już nie było podobieństwem dalej wątpić; ty tylko jeden mogłeś owe słowa napisać.“

I znowu na jesień powtarzają się piękne dni przeszłoroczne w Heidelbergu, wspólne przechadzki nad Neckarem, ku staremu zamkowi, opromienionemu bladem światłem księżyca. Pewnego dnia nie zastawszy przyjaciela w mieszkaniu, Zygmunt na jego stoliku pisze i zostawia wiersz dobrze malujący i uczucia jego i wdzięczność:

Gdy czyhał na mnie północny morderca,
Gdym nad przepaści już się chylił dołem,
Tyś mnie wielkością swego zbawił serca,
Ty byłeś dla mnie widomym aniołem!
Nie onym w marzeń wyśnionym godzinie,
Co blichtrem skrzydeł błyska — aż przeminie,
Ale aniołem w duchu, w prawdzie, w czynie —
Tym, co nie łudzi, ani się przymila,
Lecz strzeże wiecznie i zbawia co chwila
Opieką Bożą — w człowieka postaci;
Bratem niebieskim — pośród ziemskich braci;
Tarczą, obroną, czemsiś nienazwanem,
Za co dziękując, przyklękam przed Panem
I proszę Pana: niech tobie zapłaci!
Bo sam tę wieczną czuję w sercu trwogę,
Że nic ci oddać, ach! za to nie mogę,
Chyba to jedno, że z wiarą wciąż wołam:
Strzeż mnie i kochaj! — nic więcej nie zdołam.

15 października 1847.

Listy Zygmunta, odnoszące się do całej tej sprawy, nie mniejszą tchną wdzięcznością. Oto ich parę urywków, przeważnie w Nicei pisanych: „Dziękuję ci za dar — dziękuję ci za dar (przystanie Koźmiana na przyjęcie autorstwa *Osta-*

tniego). Sam wiesz, że pod pewnym względem niepodobieństwem więcej dać mi, niż to, coś mi dał; bo kiedy fatum ciąży nad kim, ten kto jakąbądź mocą, ratunkiem, darem owe fatum kruszy, zobojętnia, czy nie naśladuje w owej chwili działania miłości opatrznej, która wiecznie po nad światem fatum świata kruszy i zobojętnia. Niezawodnie w stosunku do obdarowanego taki obdarzacz wygląda na Anioła Pańskiego, zesłanego do biedy ludzkiej w błogosławieństwie i we wspomożeniu. Pojmiesz więc, co się zawiera w tych trzech *dziękuję* list ten rozpoczynających... Ja tu siedzę, póki cię nie wysiedzę! na ciebie tylko czekam, czekam rozwartem objęciem i dziękczyniącem sercem... Ilekroć mówisz, że nie mam za co ci dziękować, tylekroć czuję, mój drogi, że tembardziej mam ci za co i codzień i nazawsze! — i coraz się bardziej lękam, czym tobie nie narobił przykrości wielu."— Maj. Lipiec 1847.

„Ofiara moja była niemałą, ale on ją przeceniał," dodaje Koźmian, wspominając wiersz Zygmunta. A jednak kto znał drażliwą delikatność p. Stanisława, domyśleć się może, jak ciężko musiało mu być na podobny przystawać układ, wieńczący go niezasłużonym wawrzynem. Pisze on też na jednem miejscu: „Miałem sposobność doświadczyć, iż jeżeli przykrem jest znosić nagany i obelgi za kogo innego, to stokroć dolegliwiej otrzymywać pochwały i zaszczyty należne choćby najbliższemu przyjacielowi."

Podczas owego ostatecznego pobytu w Heidelbergu Koźmian dał folgę tłoczącym go w tym względzie uczuciom i nawet udało mu się na kilka chwil samegoż oszukać Zygmunta. Napisał bowiem niby tłómaczenie z Danta, w formie *terza rima,* wystawiając męki człowieka pokutującego za to, że na ziemi niezasłużone pochwały odbierał za dzieła i czyny, których nie był sprawcą. Zygmunt dopiero wtedy zgadł, gdy już nadto wyraźnie zaczęło się okazywać, że o sobie poeta mówi. Piękny wiersz ten, nigdzie dotąd nie drukowany, brzmi jak następuje, a dosadnie maluje ówczesne udręczenia Koźmiana w sumieniu, w pokorze i zaparciu się siebie samego, cierpiącego istne męki, a poświęcającego się na niezasłużone oklaski, z miłości dla przyjaciela:

Niby wyjątek z Pieśni X o Czyśćcu.

Dante mówi:

I do ciemniejszej weszliśmy otchłani.
Tam, koło ognisk, postacie siedziały
Tych, co za życia próżności oddani

Szukali chluby w blasku cudzej chwały.
A jako droga pyłem się tumani,
Gdy z igrzysk orszak zwycięzców wspaniały

Wraca wśród krzyków hałaśnej gawiedzi;
Lub jak się wloką czarne dymu kłęby,
Gdy pożar bory odwieczne nawiedzi.

I najprzód chwyci smolne sosien zręby,
Że i zwierz w tajnej kniei nie wysiedzi,
A zanim runą, wprzód zczernieją dęby.

Tak tu od dymów było duszno, czarno,
Bo wciąż te rzesze na swoje ogniska
Krzewów, ziół wonnych takie stosy garną,

Że się i płomień nawet nie przeciska,
Lecz spodem tlejąc, bucha chmurą skwarną.
I rzekłem: „Mistrzu“ — gdyśmy przyszli zbliska,

„Już nic nie widzę.“ A Mistrz na to: „Baśnie
„Ludzkiej próżności są jako te dymy,
„Pod niemi czysty płomień prawdy gaśnie.

„Te karły myślą, że się jak olbrzymy
„Przez dym wydają. W tem ich kara właśnie,
„Gdy idąc — nawet na nich nie spojrzymy.“

I szliśmy dalej w górę — aż w pół drogi
Do tego miejsca, zkąd świtał dzień biały,
W bok na wysokie wstąpiliśmy progi.

I gdyśmy weszli, ściany sprzejrzystniały
W tak luby błękit, jak gdy promień błogi
Przez głębie padnie na podwodne skały.

Było sklepienie. Pod sklepienia szczyty
Wiodły w przybytek niezliczone wschody,
Tam *Tajemnica* był napis wyryty.

Gdziem stał na dole, jakiś orszak młody
Otaczał męża, którego zaszczyty
Sławiąc śpiewami, składał mu w zawody

Bluszczowe wieńce. Mąż stał niewzruszony,
Choć smętny wielce, bo dźwigał na głowie
I obydwoma podpierał ramiony

Złocistą księgę. Na nią młodziankowie
Coraz kwiecistsze składali korony.
On nic nie mówił — znać skąpy był w mowie.

Lecz gdy na księgę zbierze wieńców tyle,
Że aż się pod nim zginają kolana
I ledwie zdoła stać o własnej sile,

Szedł nieść te zbiory tam, gdzie wypisana
Jest *Tajemnica*, a potem za chwilę
Na dół powraca zbierać nowe wiana.

I gdy raz trzeci tak idzie i wraca,
Żal mię zdjął wielki. A mistrz rzecze na to:
„Nie jest tak ciężką, jak myślisz, ta praca.

„Człowiek ten w życiu świecił za bogato
„Z zasług nie swoich, i teraz opłaca
„Przepych, że chadzał strojny cudzą szatą.

„Lecz że to czynił nie ku próżnej dumie,
„Tylko chciał bratu ulżyć ciężar sławy,
„Przeto nie w tamtych potępieńców tłumie,

„Ale do czasu czeka tu odprawy,
„Bo ten, co karać i nagradzać umie,
„Da mu wyjść wkrótce na swobody jawy.

„Był wieszcz, którego ścigała szalona
„Zawiść szatańska, że głosił po świecie,
„Iż Bóg zwycięży a szatańswo skona.

„I raz, by nie wpaść w zastawione siecie,
„Swój płaszcz książęcy spuścił na ramiona
„Tego człowieka, który choć jak dziecie

„Przy nim wyglądał, przecież tak wysoko
„Wyrósł miłością k'niemu, że na zmianie
„Nawet zawiści zmyliło się oko.

„Lecz że od swoich zbierał uwielbianie,
„A nie zasłużył, więc pod tą opoką
„W trudach tej pracy czas krótki zostanie,

„Aż karę spełni. Poczem znów w nagrodę
„Za to, w czem była rzeczywista cnota,
„Ów wieszcz tu przyjdzie, odda mu swobodę.

„I przez oczyszczeń przeprowadzi wrota,
„Nie w niższe szlaki, zkąd ja ciebie wiodę,
„Gdyż oni piekło przeszli za żywota,

„Ale w najwyższe niebieskie okręgi,
„Gdzie mu pokażę wszystkie męczeństw chwały,
„Gdzie przyszłych wieków roztworzywszy księgi,

„Ujrzą, jak cudnie w górę wybujały
„Kwiaty ich marzeń do czynów potęgi,
„I jak znów z czynów rosną ideały

„Coraz piękniejsze i piękniejsze jeszcze."
W tem się do wyjścia byliśmy zbliżyli;
Szczęsny, że znowu światłem dnia się pieszczę,

Biegłem, gdy we drzwiach jakiś cień w tej chwili
Stanął. Jam poznał, że to wieszcz nad wieszcze,
Bo przed nim nawet schylił się Wirgili.

Obraz ten, pełen poetycznego wdzięku, nie przekonał Zygmunta. Owszem, jak pisze dalej Koźmian: „Proponował mi znowu, aby wszystkie jego dzieła w pięknej i jednostajnej edycyi pod mojem wydać nazwiskiem. Tu już się oparłem na dobre. Tak go kochałem, żem gotów był wszystko dla niego uczynić. Ale wydanie *Nieboskiej, Irydiona* itd. pod mojem imieniem, nie oszukałoby nawet Moskali. Po przybyciu mojem w Poznańskie chciał, aby *Sen* [1]) wyszedł pod mojemi pierwszemi literami S. K. Wyperswadowałem mu to. Wydałem utwór ten w Lesznie pod literami J. S. Chciał także, żebym wziął na się autorstwo *Resurrecturis*. Zgodziłem się tylko na to, że nie będę przeczył, jeśli na mnie to włożą. Wciąż go upraszałem, żeby mi choć bliższym przyjaciołom prawdę objawić dozwolił. Zgodził się nareszcie, na parę miesięcy przed śmiercią, ale z tak widoczną niechęcią, żem zaniechał zamiaru."

Powyższa notatka, nosząca datę d. 3 lutego 1862 roku, kończy się słowami: „Już dziś zapóźno, ale mógłbym pisać tomy wspomnień o Zygmuncie."

Niestety, tomów tych nie napisał, mało nawet o przyjacielu opowiadał, jakby zazdrośnie drogie w sercu skarbiąc pamiątki. Jak całemu zresztą starszemu pokoleniu, a mianowicie delikatniejszym naturom, wstrętną mu była pośmiertna niedyskrecya, gwałcąca dziś tak ogólnie tajemnice serc, tek i biórek. W przyjacielu, w wieszczu strzegł pilnie ideału człowieka, zaczem nie był zdania, aby dorywcze listy, luźne zapiski i wrażliwe słowa miały się stawać własnością ogółu, iść pod krytykę obcych i obojętnych. W tej myśli własną korrespondencyę z Zygmuntem z małemi wyjątkami zasłonił od błahej ciekawości publicznej, wolał nie popisywać się tak bliskim ze zmarłym wieszczem stosunkiem, jakby to inni uczynili, aniżeli ową poufną zamianę uczuć i myśli oddawać na pastwę chciwych wrażeń czytelników, próbujących za po-

[1]) Niedokończony poemat.

mocą pożółkłych kartek dokonać anatomicznej sekcyi i analizy wewnętrznej człowieka. Zdanie to jego podzielał i popierał w zupełności żyjący po dziśdzień najbliższy przyjaciel Zygmunta Krasińskiego, August hr. Cieszkowski. Wszelako oceniając skarby złożone w korrespondencyi Zygmunta, Stanisław Koźmian pragnął ją zachować dla dalszej przyszłości, sam tedy starannie przepisał odebrane od przyjaciela listy, opatrzył je odpowiedniemi przypiskami, objaśnieniami, komentarzami, a lękając się wiecznie pożaru i zniszczenia tak drogiej spuścizny, postanowił, aby oryginały i kopie nigdy w jednem i temsamem nie zostawały miejscu, dublety składając w bezpieczne a przyjazne ręce, które nad niemi czuwały z rzewnem uszanowaniem.

Dopełniając mozolnego zadania, Stanisław Koźmian następne kreślił wyrazy:

„Przepisując te listy, przeżyłem nanowo lata i skończywszy trud ten drogi, zda mi się, iż i memu życiu koniec. Dał mi Bóg przyjaźń Zygmunta *gratis*, bez żadnej zasługi, największą łaskę z łask swoich. A gdyby była jaka odrobinka dobrego z mej strony, już i tak zapłatę w miłości ukochanego stokrotnie otrzymałem. Wspomnienia też o nim krzepić i wspierać mię będą aż do ostatka dni moich i ta nadzieja, że w wiekuistości Bóg nas znowu połączy i że (według słów dzisiejszej Ewangelii) znów oglądać się będziemy, i będzie się radowało serce nasze, a radości naszej nikt nam już nie odejmie... Błagam najmiłosierniejszego Boga, aby ten przyczynek mój w niczem nie ubliżył, ale owszem przysłużył się pamięci człowieka, któregom najwyżej pomiędzy ludźmi stawiał, a najserdeczniej obok mej żony, dzieci i brata ukochał.“ (Drezno, 3 maja 1873 r.).

Trudno bez rozrzewnienia czytać powyższy dopisek, dziś gdy nastąpiło już owo połączenie obu przyjaciół w wieczności, wyglądane przez pozostałego na ziemi przed dwunastu laty. Jak żywem uczuciem Zygmunt wypłacał się Koźmianowi, najlepiej owa korespondencya dowodzi. Miałoby się ochotę pełnemi z niej czerpać dłońmi, na chlubę obu przyjaciół. Wspomnijmy przynajmniej ustęp listu, w którym dziękując za modlitwę Koźmiana na intencyę chorego synka, Zygmunt obiecuje ze swej strony modlić się o zdrowie dla

matki przyjaciela: „Ty za Adzia, ja za matkę twoją — takiemi wstęgami prędszemi jak druty elektryczne, bo nie z ziemi do ziemi, lecz z ziemi do nieba przeciągniętemi i dochodzącemi w tejsamej chwileczce od serca ludzkiego do Bożego, wiążmy się. Ludzie albowiem tylko wtedy ściśle związani, gdy spójnie ich łączące przechodzą przez niebiosa.“

W ten też sposób ciągnęła się jeszcze długo rzewna nić tej pięknej przyjaźni. Czy się jeszcze kiedy na ziemi spotkali po owym listopadowym w Heidelbergu rozjeździe? pono już raz tylko, w Paryżu, podczas burzliwego roku 1848. Koźmian skrzętnie zapisał dni w lipcu, tam razem wtedy spędzone, a odnośna do tych wspomnień notatka brzmi jak następuje:

„Dnie całe przepędzaliśmy w domu, nad wieczorem wymykaliśmy się do Café Anglais na obiad; w nocy dopiero obchodziliśmy lub objeżdżaliśmy Babylon. Wszędzie jeszcze były ślady walk czerwcowych. Wszystko to Zygmunt zwiedzał z wielką ciekawością. Był znowu bardzo wymownym. Tak raz na Pont Neuf, patrząc na ogrom miasta parę godzin, wciąż snuł najstraszniejsze obrazy, jakby nowy poemat o piekle. Marzył o ogólnej rzezi. Odźwierny w każdym domu wydawał mu się takim naprzód nastawionym oprawcą, co miał wszystkich bogatszych lokatorów życia pozbawić. Widział, jak pod ziemią odbywają się orgie, bachanalie na cześć szatana, kobiety mordem tchnące, krew żłopiące, istne furye z pochodniami i płynami siarczanemi do naniecania pożarów, zaprawiając mężczyzn do rzezi i gorzej jeszcze, — zgoła, gdy dziś przywodzę sobie przed oczy najszkaradniejsze sceny z dziejów Komuny, zda mi się, że wtedy wszystkie on już je wywróżył i na tem ciemnem tle Paryża wypłomienił z wnętrza, z najtajniejszych warstw podziemnych nowego Babylonu, wydobywając wieszczym swym wzrokiem to, co w lat później dwadzieścia trzy miało się na wierzchu rozwielmożyć i zapanować. Zwiedzaliśmy i te miejsca, gdzie się przytuliły polskie szczątki i wspomnienia... Zygmunt ciekawy był przyjrzeć się hotelowi Lambert, owemu zamkowi, jak zwał, polskich Burgrawów. Wprowadziłem go pociemku w podwórze, na schody, pokazywałem, gdzie kto z naszych mieszka, jaki rozkład domu. Musieliśmy uciekać, żeby nas nie wzięto

za złodziei. Inną razą jeździliśmy parę godzin po Champs Elysées i długo się przyglądaliśmy hotelowi Praslin. Po jednej z takich nocnych wycieczek rozstaliśmy się 16go lipca, o późnej, północnej godzinie, nie przewidując, że to raz ostatni w życiu się widzimy."

Dalszych nie posiadamy już śladów spotykania się obu przyjaciół na ziemi, ale myśli ich nieraz w jednym zbiegać się musiały kierunku. Znajdujemy jeszcze jednę notatkę poświadczającą odbrzmiewaniu jednakich dźwięków, w tych duszach tak ściśle z sobą połączonych. Koźmian w niej wspomina, iż oddawszy się na usługi *Przeglądu*, coraz rzadziej począł rymy składać. „Raz tylko przyszła mi myśl napisania drugiej części Zygmuntowego poematu: *Ostatni*. Odpływający ku niebu prosi anioła, aby go raz jeszcze do ziemi przybliżył i pozwolił przypatrzyć się Ojczyznie. Widzi, jak wszystko w niej uświęca się i potężnieje. Rosya, Austrya, Prusy, — to od wewnętrznych zawichrzeń, to od zewnętrznych nieprzyjaciół mają zginąć. Polska, zamiast się mścić, wybawia je. Obrazy tryumfujących przebaczeniem Polaków w Petersburgu, w Wiedniu i Berlinie. Nawrócenie Rosyi i Prus. Odpływający do nieba spotyka Matkę Boską, która idzie jedną światłością wiary i swobody ogarnąć całą Słowiańszczyznę."

Plan ten został jedynie z całego szerokiego pomyslu; żaden zresztą fragment o rozpoczęciu poematu nie świadczy. Snuł się on tylko w myśli poety, nie odział nigdy w formę słowa.

Drogie sercu stosunki nie wypełniały jednak tak wyłącznie dni i życia Koźmiana, aby miał zaniedbać szerszą służbę krajową, której nie tracił z oczu wśród najmilszego obcowania z Zygmuntem i gotowego poświęcania się dla niego. Owszem, przyjaźń podobna tylko jeszcze zagrzewać musiała do ofiarności tem chętniejszej i skorszej. Już w Rzymie, w ciągu swego ostatniego tamże pobytu, Stanisław Koźmian usiłował zawiązać rdzeń towarzystwa historycznego, ułatwiającego rodakom szperanie w źródłach rzymskich, nieprzebranych pod względem ważnych do dziejów naszych dokumentów. Nie zaniedbując przekładów Szekspira, poczuwał się też wciąż do obowiązku spółpracownictwa w *Przeglądzie Po-*

znańskim, a gdy to zdala niełatwo przychodzi, uzyskuje pozwolenie pobytu w Berlinie i tamże osiada przy bracie. Ale nie nadeszła jeszcze chwila spokojnej pracy. W marcu 1848 wybucha rewolucya, opisana szczegółowo przez naocznych świadków w *Przegl. Pozn.* Zrazu zdaje się, że Polakom wielka i czysta rola przypadnie w tym ruchu, że sumienie zbudziło się w niemieckim narodzie, zaczem i w rządzie pruskim obudzić się musi. Jak zwykle, jak za każdym u nas dotąd ruchem, na stępuje chwila nadziei. Próżne złudzenia! Po przelotnej wycieczce w Poznańskie, gdzie się wszystko pali ofiarą i otuchą, postanowiono korzystać z dawnych Koźmiana stosunków i wysłać go do Anglii. Opuszcza więc Księstwo, całe w ogniu pierwszych zapałów, ale już po drodze z Berlina szle odgłosy rozczarowania pełne. Zniknęło chwilowe omamienie jakimś zwrotem w uczuciach niemieckich. „Całe serce mi się ściska. Sympatya dla Polski zupełnie ostygła." Radzą mu czekać, do Anglii nie jechać, póki się coś nie rozświeci, on jednak chce słuchać danego zrazu polecenia. Tymczasem biedni emigranci zewsząd ściągają, pełno ich w Berlinie, umożebniony powrót do kraju może jeszcze więcej na ich postanowienie wpływa, aniżeli jakakolwiek powodzenia nadzieja. Przybywają z Paryża, z Londynu. Dom na Schadowstrasse wygląda jak obozowisko. Pono już i z Ameryki się ruszają. Wśród tego wiru i waru Koźmian znajduje chwilę i myśl wolną, aby przerzucać pojawiający się właśnie *Ojcze nasz* Cieszkowskiego. W liście pełnym najsmutniejszych politycznych przewidywań znalazło się miejsce na zachwycanie się nowym dla umysłowości i ducha polskiego nabytkiem: „Przerzucałem *Ojcze nasz.* Są prześliczne karty. Zakrój, objętość i styl monumentalny. Wiele ustępów jakby przez Zygmunta pisanych. Żywcem jego wyobrażenia o trzeciej epoce."

Tak się bowiem splatały serca i myśli przyjaciół, że w pismach jednego znajdował się nieraz oddźwięk natchnień drugiego. Tymczasem Koźmian, z nadzieją, a choćby wbrew nadziei, płynie do Anglii. Witają go mile dawni przyjaciele i znajomi, luba u wstępu czeka pociecha. Chopin złamany na duchu zerwaniem z panią Sand, a bardziej jeszcze fatalną swą ku niej miłością, bawi w Londynie, zawsze rozrywany, w wielkim czy artystycznym świecie. Każdą wolną chwilę

poranku czy wieczora dawni warszawscy przyjaciele razem spędzają, ciesząc się przynajmniej sobie i sobą, wśród nawału osobistych smutków i rozczarowań, a publicznych klęsk i zawodów. Ale niewiele takich momentów osłody i ochłody, tak z powodu poleconych Koźmianowi zabiegów, jak skutkiem coraz niepomyślniejszych z kraju i z dziedziny międzynarodowej polityki wieści. Już 15 kwietnia, za przybyciem do Londynu pisze on do braterstwa: „Przyjechałem tu w niedzielę, na samo wzburzenie i zgiełk Chartystów, a że przybywałem z malarią berlińską, jużem myślał, że i tu trafię na rewolucyę. Tymczasem wszystko odbyło się spokojnie, z wielkiem moralnem zwycięstwem istniejącej powagi nad swawolą malkontentów i podżegaczów z zagranicy. Mimo tego jednak, na czas jakiś przerażenie w umysłach niedostępnymi i niedbałymi czyni Anglików dla wszelkich innych kwestyj. A więc i moja misya niesłychane spotyka przeszkody i pono w głównych celach pozostanie bez skutku. Meetingów zbierać nie można, bo się boją, aby ich Chartyści nie zakłócili. O pożyczce ani chcą słuchać. Wymawiają się brakiem pieniędzy, niechęcią wtrącania się do spraw cudzych, wreszcie niepewnością, jaki obrót wezmą rzeczy w Księstwie i Galicyi. Wszyscy są zdania, że i składki robić nie można. Ci, co po wypadkach r. 1846 byli chętni do ofiar, dziś cofają się. Sam nawet Stuart jakiś niepewny, zmęczony... Com mógł zrobić, dokonałem w pierwszych dwóch dniach. Ogłosiłem manifesta Komitetu, sprostowałem w gazetach fałszywe rozumienie i baśnie o Księstwie, bo już tu mówili, że Polacy biją się między sobą, że chłopi rzucają się na panów, palą ich domy, rabują Niemców i Żydów; dowiedziałem się o broni i o warunkach jej dostawienia; widziałem wiele członków parlamentu i osób znakomitych. To, co za główne zwycięstwo uważam, jest posłuchanie u lorda Palmerstona. Przedstawiłem mu śmiało i dobitnie stan nasz, nasze żądania, nadzieje i jakie Anglia ma względem nas powinności. Wysłuchał wszystko z wielką uprzejmością. Choć na nic wyraźnie nie przystawał, niczemu jednak nie przeczył. Dał mi do zrozumienia, że ze stanowiska nawet traktatów Polacy mają słuszność, porywając się do oręża, bo one pogwałcone zostały. Napomknął o jakiemś tam polubownem urządzeniu nie-

podległej Polski. Wiem zkądinąd, że myśli o Królestwie z księciem Leuchtenbergskim za króla. Rozmawialiśmy przez trzy kwadranse. Po kilkakroć ściskał mnie za rękę, nazajutrz mówił Stuartowi, że był *charmed with me.*“

Tymczasem przekupiony czy zawsze niechętny Polakom *Times,* rozsiewa najpotworniejsze wieści o mniemanych okrucieństwach, jakich się nasi w Księstwie dopuszczać mają. Koźmian błaga o sprostowania, o wiadomości źródłowe. Owe oskarżenia oraz głupstwa swoich, napełniają go smutkiem i wstydem: „Często oczu podnieść nie śmiem. Reszta sympatyi, która tu ginie już innemi sposoby, rozpierzcha się na odgłos tych strasznych wieści.“ Odpiera je w przychylnych *Daily News* i *Morning Chronicle.* „Cały mój czas schodzi na pisaniu artykułów i chodzeniu po ludziach.“ W maju znów się odzywa z smutniejszem jeszcze zwątpieniem: „Nieskładno mi do was pisać, bo oprócz obawy i boleści nic wam udzielić nie mogę. Was tam kurzawa zwycięstwa ogarnia, prąd wygranej naprzód niesie, durzycie się, szołomicie. Z tej odległości wszystko źle się wydaje. Im większe zwycięstwo na Prusakach, tem gorzej. Stało się więc, czegośmy się tak bardzo obawiali. Moskal się cieszy. Dla niego bitwy wygrywamy. Niedziw, że nam, którym nie o korzyść, lecz o wrażenie chodzi, podobają się te nietrwałe laury. Tu wszyscy ubolewają nad naszą ślepotą. Rozdzieram się, łamię na wszystkie strony, żeby ich przekonać, jak trudno jest ludzi powstrzymać, zwłaszcza pobudzonych oczywistą zdradą. W ogólności dotąd jest złe usposobienie. Dzień za dniem przechodzi — od was złe wiadomości, z Galicyi żadne — Komitet narodowy ani razu do mnie nie napisał — nie wiem kogo reprezentuję — biegam tylko jak krzywda polska po kamieniach i dywanach londyńskich.“

W kraju, gdzie wszelka urzędowość ma osobny walor, taka dyplomatyczna partyzantka niewiele odnieść mogła skutku. Zniechęcony, zrozpaczony Koźmian w tymsamym liście dodaje: „Bólem bólów moich na dzisiaj, to Papież. I on na krzyżu.“ Niema już więcej listów z Anglii. Wiemy zkądinąd, że polski wysłannik wrócił w sierpniu do Berlina, przecierpiał nowe rozczarowania, niemal boleśniejsze, bo prawie odrazu przeczute, a smutki i zawody owego pamiętnego roku

tak dalece się na jego zdrowiu odbiły, iż w ciężką popadłszy niemoc, musiał całą jesień i zimę spędzić w Grefenbergu, u sławnego wówczas z hydropatycznych kuracyj Dra Prissnitza.

Nie znalazł się tam osamotnionym. Polaków zbiegło się wielu, Anglików także nie brakło. Przyjaciel Zygmunta zbliżył się wówczas do ks. Jerzego Lubomirskiego, długie z nim pędził chwile i prowadził rozmowy. Całą duszą Polsce oddany szlachetny Anglik, Karol de la Barre Bodenham, przyłączał się często do nich, aby gorącą wiarą ukrzepiać zwątpiałe świeżemi zawodami serca. Cichy pobyt wśród gór szląskich, sympatyczne towarzystwo ludzi jednakich zasad i jednakiego smutku, bardziej jeszcze od samejże wodnej kuracyi wpłynęły na podźwignięcie Koźmiana z niemocy. Już w styczniu 1849 roku opuścił Grefenberg, aby się osiedlić w Poznańskiem. Wbrew powszechnemu mniemaniu, rewolucya 1848 r., która, po ludzku sądząc, powinna była zgłębić przepaść, zagradzającą wygnańcom powrót do Ojczyzny, otworzyła im owszem wstęp do Księstwa. Nie utrudniano wychodźcom przebywania w domach krewnych i przyjaciół, niebawem urzędowo zezwalano na ich powrót i pobyt, a nawet bez wielkich korowodów udzielano naturalizacyi, dziś tak powszechnie i stanowczo odmawianej w Poznańskiem przez władze pruskie. Zrazu Stanisław Koźmian zamieszkał w Turwi, w domu jenerała Chłapowskiego, przygarniającego ochotnie rozbitków nowej burzy, która wstrząsnęła Ojczyzną. Tam czas swój dzielił między coraz czynniejszem spółpracownictwem w *Przeglądzie,* a przyjaciółmi dawniejszymi lub nowymi, których wkrótce na wielkopolskiej pozyskał sobie niwie. Gdy jednak rzekomem przeznaczeniem Lechowego plemienia prędzej później na ojczystym pracować zagonie, i ostatecznie oręż czy lutnię zawsze na Piastowski lemiesz zamienić, i Stanisław Koźmian powszechnemu poddał się prawu, a nabywszy w r. 1851 majątek Przylepki pod Śremem, zabrał się do gospodarowania.

Ktokolwiek w życiu przez ciężką przeszedł chorobę, zna osobne usposobienie następujące wraz z powrotem do zdrowia. Serce żywszem uderza tętnem, wola się potęguje, dłoń rwie do pracy po przymusowym odpoczynku, myśl wybiega przodem z podwojoną wybujałością. Coś z tych uczuć odnaleść można i w społeczeństwach wstrząśnionych niespodzianą burzą, gdy pogodniejsza następuje chwila, i wzburzone umysły do równowagi wracają. Nie tu miejsce rozwodzić się nad wypadkami, które naznaczyły połowę bieżącego wieku, nie pora analizować przemijające wrażenia otuchy, rozczarowania lub nadziei. Pono u nas tych ostatnich niewiele być mogło, zwłaszcza po przedwstępnych a strasznych wypadkach 1846 r. Ale ogólnie w całym świecie czuć się dawał idący jakiś tajemniczy przełom. Zdawało się powszechnie, iż dawny świat zadrżał w swych posadach, dawny porządek rzeczy runąć musi, a odgadnąć było trudno, czy się zbliża chwila odrodzenia, czy też zagłady. Dojrzalsi mniemali przeważnie, iż koniec jeżeli nie materyalnego, to dotychczasowego moralnego świata się zbliża, że w tej burzy wszystko zatonie, w tym pożarze wszystko zgorzeje, zginie i zniknie. Gdy więc nawałnica ucichła, a okręt społeczny mimo doznanych szwanków nie poszedł na dno, po chwilowem osłupieniu, oszołomieniu ciężką parnością lat ostatnich, każdy jął się rozglądać w położeniu, liczyć pozostałych, a następnie w smutku wielkim rachować swe siły i nowe badać obowiazki i zadania. A więc mimo nowych zawodów, nowych

błędów, nowych niestety! szałów, nie wszystko, nie wszyscy zginęli, więc zostało pole do pracy, zostali robotnicy i chętni i zdolni, a gotowi też do nowych usiłowań, ofiarności i poświęcenia.

Ta potrzeba nawiązania zerwanych nici, ten obowiązek budowania na gruzach, ta dobra wola spotęgowana wymaganiami chwili, wszystko to promienieje pięknem, dodatniem światłem na tle dziejów i stosunków wielkopolskich w idących po r. 1848 latach. Marzeniem było śp. Stanisława Koźmiana nakreślić obraz społeczeństwa poznańskiego z wizerunkami przodujących w niem osobistości, taki, jaki mu się on przedstawił za przybyciem do Księstwa w 1849 r. Wśród nawału powszednich zajęć nigdy nie dopełnił zamiaru, tu i owdzie rozrzucając luźne zaledwie wspomnienia, które niestety! nigdy się w jednę całość nie zlały.

Świeżo X. Kalinka, kreśląc piękny żywot jenerała Chłapowskiego, wywołał z pomroku niejednę postać szlachetną, niejeden rys znaczący. Potrzebne bowiem są ramy, potrzebne tło do każdego portretu, a trudno oderwany malować wizerunek, nie oprawiając go zarazem we właściwe otoczenie. Najtrudniej przyszłoby to uczynić z człowiekiem tego usposobienia, co Stanisław Koźmian, który żył sercem daleko jeszcze bardziej niż głową, potrzebował słońca przyjaźni, aby w niej się ogrzewać, i nie pojmował ani odosobnionej pracy, ani osamotnionego życia. Spójnia i spółka serc gorących, rąk pracowitych, czynnych duchów, była ideałem obu braci Koźmianów. To też osiedlając się na ziemi ojczystej, p. Stanisław pragnął jak najbliżej się znaleść tych z przyjaciół swoich, z którymi pozostawał w największej jedności przekonań, usiłowań i zasad.

Przylepki stanowiły jakoby wysunięty posterunek sąsiedztwa osiadłego na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, ciągnącej się pasmem od Kórnika hr. Tytusa Działyńskiego do Goli p. Gustawa Potworowskiego. Pan Tytus jednak częściej w Poznaniu przebywał, pana Gustawa ustawiczna służba publiczna wciąż wywoływała z domu, naprzemian do stolicy Prus lub Księstwa; główne tedy życie sąsiedzkie skupiało się w dwóch domach Chłapowskich (Turwi Jenerała i Czerwonejwsi Stanisława), w Górze Cezarego Platera, w Przylep-

kach i Kopaszewie Stanisława i Jana Koźmianów, nareszcie w trzech domach Morawskich: Luboni Jenerała, Oporowie Referendarza i Jurkowie Kajetana Morawskiego. Oczywiście, nie brakowało w Księstwie licznych i dzielnych pracowników, rozrzuconych po dalszych stronach Wielkopolski; było ich niemało, którzy szli ręka w rękę pod hasłami, które *Przegląd Poznański* coraz odważniej, a zwłaszcza z coraz większą stanowczością na swych wywieszał sztandarach. Kreśląc atoli biografię Stanisława Koźmiana, musimy się ograniczyć na przedstawieniu tej tylko okolicy, którą sercem ukochał, wierszem opiewał, z którą się zrósł całem odtąd życiem i wśród której po śmierci spocząć zapragnął.

Niedawne to czasy, bliska nas epoka, a jednak odtąd samże charakter wiejskich stosunków uległ rdzennej, widocznej przemianie. Przedewszystkiem ogarniając wstecznem spojrzeniem owe dni niepowrotne, zaznaczyć należy wielką ówczesną prostotę i skromność życia, brak zbytku i blichtru zewnętrznego lub jakichbądź wystawności pozorów. Wszystkie niemal wyż wspomniane domy, gdzie tak spotęgowane chroniło się narodowe i umysłowe życie, byłyto staropolskie dworki, o niskich strzechach, nie przygniatających bynajmniej wysokich aspiracyj ducha, o szczupłych rozmiarach komnat, ale szerokich natomiast sercach. Do właściciela jednego z tych dworków wielkopolskich pisał w owych latach Ojciec Karol Antoniewicz: „Tam taki pokój w domku waszym, tak gwarno i ciału ciasno, ale duszy cicho i przestronno.“ O takim też dworku, obrosłym bluszczem, a z bezkształtnych przystawek złożonym, ktoś dowcipnie mawiał, iż to istny Kremlin szlachecki, warownia dawnego obyczaju i tradycyi. Objechawszy tę właśnie okolicę, Wincenty Pol w *Pieśni o ziemi naszej* zamieszczał słynny ustęp o domach polskich, tak zewnętrznie ciasnych, a w których jednak nikomu o kącik nietrudno. Wbrew dzisiejszego prądu, dbałego głównie o zaspokojenie materyalnych potrzeb, wtedy przemagały moralne wymagania. Gość nie dbał koniecznie o osobny, pełen komfortu pokój, prosta kuchnia najwybredniejszym wystarczała, byle nie zbrakło rozmowy, szermierki słowa, ożywionej dyskusyi, — byle ostatnia książka znalazła się na stole, a najświeższa wiadomość z kraju lub zagranicy wywołała w obecnych od-

powiednie jej znaczeniu wrażenie. Byle serdecznie przyjąć gościa, nie troskano się, jak wobec niego wystąpić. Słowem, w tych niedalekich czasach spełniały się na ziemi wielkopolskiej piękne słowa Mohorta, jak wraz charakteryzujące ówczesne sąsiedzkie stosunki:

Szlachetne były proste obyczaje —
A szlachetnemu nic nie bywa krzywe,
A prostej duszy wszystko jest poczciwe;
Więc też umiano wszystkiego tam użyć,
A jak rozumiem, umiano i służyć.
. . . .
Człowiek był wszystkiem — reszta wszystko niczem,
Zkąd gdy w świat patrzał poczciwem obliczem,
Podnosił wszystko w górę do tej miary
Szlachetnej duszy i do dobrej wiary,
Jaką się w życiu i w sumieniu rządził,
I nią też ludzi i wypadki sądził.

Oto właściwy klucz tajemnicy ówczesnej prostoty i serdeczności stosunków wiejskich:

Człowiek był wszystkiem — reszta wszystko niczem!

Odwiedzano się wzajemnie, nie aby się bawić, częstować lub popisywać jedni przed drugimi wyższym stopniem zbytku, lecz aby się porozumiewać zobopólnie, zamieniać myśli, zwierzać ze smutków krajowych, dźwigać się, krzepić, naradzać o wspólnych obowiązkach i ogólnych potrzebach. Ludzie ówcześni mniej żyli chlebem, a więcej słowem. Nie zaostrzyła się była owa walka o byt, przygniatająca dziś brzemieniem nieraz jałowego znoju. W nią wprzężeni, czasu prawie do swobodnej wymiany myśli już nie mamy, a wraz i odwykamy od owej potrzeby bratniej. Ojcowie nasi, nie mniej pracowici, nie znali wszelako tej gorączki życia pędzącej naprzód, niby pod nahajką nielitościwego czasu. Bywały chwile wytchnienia, z których korzystano, aby „długie nocne prowadzić rozmowy.“ Rozmowy te najczęściej w ożywioną przechodziły dyskusyę. I znów jedna różnica więcej, dzieląca nas od owej epoki. Dziś mało kto ma zasady, a kto je ma,

bynajmniej nie dba o przelanie ich w drugich, nie troszczy się, czy kto w ten lub ów sposób zapatruje się na rzeczy. W owym czasie i w kółku, o którem mówimy, już nie o zasady, bo te były niemal u wszystkich doń należących jednakie, ale o zdania, o półcienia w sądach, w ocenach, w zapatrywaniach, żwawe następowały sprzeczki, rozświecające ogólny kapitał duchowy. W onych dyskusyach zawsze najgoręcej, najgwałtowniej nawet występowali dwaj przyszli kapłani, Jan Koźmian i Wojciech Morawski, zwłaszcza na politycznej arenie. Miarkował ich zapały dowcipnem słówkiem jen. Morawski, brat jego referendarz, z dziedziny polityki w filozoficzne sfery przerzucał rozmowę. Stanisław Koźmian przeważnie literackie staczał boje, mianowicie w granicach krajowego piśmiennictwa. Stanisław Chłapowski z Czerwonejwsi wnosił w zakres dysputy wszelkie najnowsze zagraniczne publikacye. Raz po raz pojawiał się wśród tego koła, odznaczającego się tak wysoką i wszechstronną europejską kulturą, a tak gorącemi polskiemi uczuciami Rogier hr. Raczyński, i jakby fajerwerkiem wszystkich olśniewał na chwilę, aby tem żwawsze następnie wywoływać spory. A gdy tak zaostrzała się dyskusya, osiadły wśród przyjaciół wygnaniec pełen zdolności, niestety! przeważnie zmarnowanych, Stanisław Ropelewski, wysłuchawszy w milczeniu dwustronne argumenta, rzucał od niechcenia i jakoby leniwo, słowo rozstrzygające nieraz o zwycięstwie tej lub owej strony. Zastęp „Koźmianczyków“ czyli świetnej młodzieży, która pod przewodem Jana Koźmiana w Berlinie się kształciła niedawno, dostarczał młodszych zapaśników owym przyjacielskim sporom. Raz po raz który z Górskich przybywał z żałobną wieścią o krajach zabranych, Michał Mycielski w sąsiedniem Lesznie pracował przy sądzie, z Platerów Cezary, Zygmunt i Adam ożywiali już i tak pełną życia okolicę. Syn dawnego obu Koźmianów warszawskiego profesora, Dr. Aleksander Koncewicz, ujawniał tu pracowitem życiem i przedwczesną śmiercią ciągnącą się i wśród młodszych tradycyę ofiarności i poświęcenia. Czasem mignął się Klaczko, najświętszym węzłem z Janem Koźmianem zespolony; przesunął się Lucyan Siemieński, dla odwiedzenia dawnych z szkół lubelskich kolegów; pojawił Leon Ulrych, aby potrochu z Stanisławem

Koźmianem szekspiryzować. Piękna postać jakoby rycerskiego z średnich wieków mnicha, Edwarda hr. Łubieńskiego, przemykała się niekiedy smętnie wśród tego ożywionego koła. Nie brakło i duchownego żywiołu: X. biskup Janiszewski pierwszą mszę odprawiał w Czerwonejwsi, otoczony całem niemal sąsiedztwem, w którem najbliższych liczył przyjaciół i najwcześniejszych wielbicieli; X. Prusinowski, ów duch gorący, co przedwcześnie się strawił płomieniem gorliwości i zapałów świętych, częstym tu bywał gościem; OO. Kajsiewicz i Semenenko nie rzadko te strony nawiedzali. Ztąd Ojciec Antoniewicz wyszedł na apostołowanie Wielkopolski. Opisującemu ówczesne stosunki, raz po raz nasuwa się porównanie z życiem pierwszych uczniów Chrystusa po Jego męce. Zaiste bowiem tych wszystkich było serce jedno i dusza jedna, i trwali w zgodzie, w miłości, w spólności pracy i dążeń szlachetnych.

A jak wtedy na Apostołów w ciężkiej chwili osierocenia zstąpiła łaska Ducha Śgo, i tutaj rzeczywiście po świeżej burzy i przebytej próbie spływał na tych ludzi dobrej woli i pokój Boży i światło niebieskie. Co się tu pięknych myśli w czyn zamieniło! co dobrych zamiarów powstało, aby przejść w rzeczywistość! ile zdrowego, poczciwego ziarna na cały kraj się rozeszło! Grunt był sposobny, ludzi zacnych sporo. Zasługą Koźmianów, że umieli te siły zszeregować, z każdego pojedynczego szermierza wyciągnąć całą możliwą sumę twórczej siły i zdolności i rozbite usiłowania zlać w zbiorową działalność.

Najświetniejsza byłato epoka *Przeglądu Poznańskiego*, dni najrodzajniejszej pracy na niwie organicznych zabiegów, zarówno jak na polu publicystyki i piśmiennictwa. Niejeden z tego grona podążył na nowy sejm berliński i ztamtąd ciekawych dostarczał odgłosów pozostałym w domu. Nawzajem z ciszy wiejskich ustroni płynęły ku nowym posłom wskazówki doświadczonych starców, rady dojrzałych mężów, wierne obrazy miejscowych potrzeb i stosunków krajowych. Jenerał Morawski nie skąpił Przeglądowym redaktorom spóźnionych plonów nie starzejącej się Muzy. Młodsi chwytali się pióra, próbując talentu w różnych kierunkach. Jan Koźmian wskazywał „dwa ideały," ostrzegał przed dwoma dla

Polski niebezpiecznemi „bałwochwalstwami.“ Stanisław mnożył studya krytyczno-literackie, gromadził odgłosy z piśmiennictwa europejskiego. Ztąd nie było nowej książki, któraby w te strony nie zawitała, nieraz *avant la lettre,* zanim nawet o niej gdzieindziej posłyszano. Bywało, iż w rękopisie jaki przesłaniec natchnienia polskiego tu zagościł. To Kajetan Morawski z rąk Zygmunta Krasińskiego w Warszawie odbierał manuskrypt jednego z Psalmów, aby go przez granicę przemycić, a potem się z braćmi natchnionem podzielić słowem. To Andrzej Koźmian przywoził dalsze pieśni niedrukowanego poematu ojca o Stefanie Czarnieckim, lub przekład glozy Ś. Teresy dokonany przez Zygmunta. Życie duchowne i duchowe tlało tedy i wrzało jak nigdzie może, w tym uprzywilejowanym zakątku, w tych skromnych dworkach, gdzie buchał tak żywo płomień pięknych ideałów. Niedziw, że Stanisław Koźmian, skołatany ośmnastoletnią tułaczką, tu sobie upatrzył przystań, aby do ojczystego zawitać portu.

Świeżo przez niego nabyte Przylepki musiały mieć dla niego urok osobny ze względu na czysto polski charakter miejscowości. Wśród równiny zamkniętej sinem pasmem lasu, przeciętej tu i owdzie rzędami topoli, wstęgą dróg piaszczystych lub zieloną miedzą, rozsiadła się wioska tuż obok dworskich zabudowań. Sam dom właściciela nie zdawał się przerastać chat włościańskich; skromny, ciasny i niski, wznosił się on wśród niewielkiego ogródka, w bezpośredniej z sadem i podwórzem styczności. Kilka starych, wspaniałych drzew stanowiło główną ozdobę ogrodu, krzewy bujnie kwitnące, bzy różnobarwne, migdałki różowe, corocznie nową odziewając się krasą, zwiastowały powrót wiosny spragnionemu słońca i ciepła poecie. Gniazdo bocianie zatknięte „jakby na sztandarze zagonowej chwały“ nad gumnem, studnia z żórawiem, dalej łany naprzemian zielone i złote, rysy swojskie, rodzime, od Warty po Dźwinę jednakie, tem milsze i droższe w oczach wygnańca długą tęsknotą, długą tułaczką strudzonego. Oto zresztą, jak sam Stanisław Koźmian malował nową swoją siedzibę i własne w onych dniach usposobienie:

Rząd drzew w cudną gałęzi skojarzonych zgodę,
Pod niemi cień i światło drżące na przemiany,

Zielony trawnik liściem jesiennym zasiany,
Jako zwiędłą nadzieją serce jeszcze młode.

Dalej przechodzi struga, — za nią długie łany,
Wkońcu wiejski kościołek, z krzyżem — co w pogodę
Przez coraz bezlistniejszych konarów przegrodę
Błyszczy zdala zachodniem słońcem ozłacany.

Oto wszystko, co z mego dziś widzę okienka,
Na które do mej izby po ciepło się wspina
Z spóźnionym kwiatem bluszczu gałązeczka cienka.

Życia to mego obraz. Różnica jedyna,
Że nad coraz widniejszym krzyżem się przegina
Nie zachód, ale życia lepszego jutrzenka.

W tej tedy cichej ustroni zamieszkał od r. 1851 Stanisław Koźmian; na tym zagonie przez kilkanaście łat pracował; w tym cichym dworku zacieśnił życie dotąd na najświetniejszych szlakach międzynarodowej umysłowości płynące; zamknął się na wsi, on, do stołecznych przyzwyczajon gwarów, a ta odmiana tak rdzenna, tak nagła, nigdy mu nie zaciążyła. Ludziom tej miary nic polotu życia odjąć nie zdoła, nic zakresu ducha ścieśnić nie potrafi. Można odbiedz świata, stracić z oczu wspanialsze widnokręgi, oddalić się od wiru zdarzeń i waru wrażeń kotłujących wześrodkowanych ogniskach życia i zapasów ludzkich; lecz ten, co posiada w sobie niewyczerpany zasób wewnętrznych darów i bogactw duchowych, zawsze i wszędzie potrafi sobie stworzyć bezmierny widnokres między Bogiem a duszą własną, i nigdy na jałowość przeznaczenia wyrzekać nie będzie.

Widno jednak, że z pewnem zakłopotaniem dotychczasowy publicysta i literat zabierał się do praktycznych zajęć rolniczych i odpowiedzialności. Życzliwe serca pierwsze mu trudności ułatwiły. Matka z kraju potrzebny nadesłała kapitał, jenerał Chłapowski zakrzątał się około dobrych warunków kupna, z całem doświadczeniem, jakie w tym względzie posiadał. Koźmian w jego ręce składa przeprowadzenie interesu, sam zaś pisze w owych dniach o przyszłości swojej

stanowiących: „Trzeba i wielkiej łaski Bożej i pomocy ludzkiej, abym ja mógł wybrnąć z tego. To tylko zaręczam, że ani nie stracę rozrzutnością, ani żadną spekulacyą, że będę doglądać, o ile siły starczą.“

I oto z sumiennością, która była jedną z przewodnich cech jego charakteru, zabrał się istotnie do owego doglądania „ile siły starczą.“ Wokoło siebie widział najlepsze wzory, nie brakło mu światłej rady, pomocnej w wątpliwościach ręki. A chodząc około swej roli, przywiązał się do niej, zainteresował gospodarstwem na własnym zagonie. Poezyą, jaką w sobie nosił, ozłacał powszednie, pospolite zajęcia, bez szkody dla materyalnej strony swego nowego zawodu. Obiegał gorliwie pola swoje, czuwał nad robotami, nad porządkiem i ładem ogólnym. Stykał się ze służbą, obcował z włościanami, był dobrym panem w całem szerokiem tego słowa znaczeniu, a tak stałe uczucia przywiązania i wdzięczności umiał wzbudzić ku sobie, iż gdy w kilkanaście lat po opuszczeniu Przylepek martwe jego zwłoki do parafialnego odwożono kościoła, tłumy ludu wyszły na spotkanie żałobnego orszaku, obfitemi łzami żalu najwymowniejszy składając hołd dawnemu swemu panu.

Koledzy na Parnasie nie bardzo jednak dowierzali możności przedzierzgnięcia dyletanta literatury i poezyi na praktycznego hreczkosieja. Sypały się na niego gradem ucinki i żarciki, co i z niniejszego listu Koźmiana do jenerała Morawskiego prześwieca: „List kochanego Jenerała zastał mnie już na mojej zagrodzie — wprawdzie nie ujadającego się z włodarzami, ani wydającego dyspozycyj, ale już moknącego i klapiącego po błocie, co w tym roku nietrudno przy ustawicznych deszczach. Za czterowiersz dziękuję. Zanadto grzeczny. Jam się obawiał, że Jenerał poprostu powié:

Znać, że brak ci piątej klepki,
Kiedy kupiłeś Przylepki.“

Sam Koźmian podzielał zresztą w tej mierze niedowierzanie przyjaciół. I rzeczywiście, mimo przyrodzonego pociągu Polaków do rolnictwa, nie byłto odpowiedni dla niego zakres działania. Tęsknił nieraz za ulubioną umysłową za-

bawą, łamiąc się z troskami gospodarskiemi; westchnął do pióra lub książki, włodarzując na swych polach. Opatrzność zesłała mu pomoc w osobie poświęconej małżonki, która rychło poznawszy usposobienie i upodobania męża, odtąd przeważnie na swe barki przyjęła brzemię praktycznego życia, wyręczała go o ile się dało, usuwała z pod nóg jego każdą trudność i przykrość powszednią, byle mu zapewnić swobodę myśli i swobodę czasu. W r. 1853 Stanisław Koźmian poślubił pannę Felicyę Łempicką, lubelską swą spółziemiankę. Choć rząd patrzał przez szpary na pobyt emigrantów w Księstwie, stan ich cywilny nie był jeszcze bynajmniej uregulowany ani przyznany. Ztąd trudności bezliku przy każdym urzędowym akcie. I znów gościnne progi Turwi — rodzicielskiego domu wygnańców — rozwarły się przed nieliczną weselną drużyną. Ślub odbył się pocichu, prawie tajemniczo, w kaplicy pałacowej, w gronie najbliższych krewnych i przyjaciół, Chłapowskich i Morawskich. Zaczem nowo skojarzona para stale zamieszkała w Przylepkach, a ubłogosławiony dwojgiem dziatek związek jął snuć po Bożemu dni pracowite i pogodne.

Ale jakby nowym dowodem niestałości szczęścia zupełnego na ziemi, zaledwie starszy brat własne rodzinne zakładał ognisko, dla młodszego się ono rozbijało niepowrotnie przez zgon pełnej wdzięku, rozumu i cnoty małżonki. Wiadomo, do jakich poświęceń, do jakich wpływów, ofiar i błogiej działalności cios ów straszliwy otworzył drogę nie złamanemu nigdy, choć zranionemu nieuleczalnie Janowi Koźmianowi. Tkliwszy, czulszy, mniej zahartowany cierpieniem Stanisław, srodze odczuł wszystkie odcienia braterskiego nieszczęścia. Bezpośrednio dotkniętemu niemal przychodziło pocieszać i krzepić znękanego nadmiarem spółczucia starszego brata. A gdy idąc za głosem wewnętrznym, Jan Koźmian postanowił zostać księdzem i udał się na studya teologiczne do Rzymu, p. Stanisław jakoby nowego doznał osierocenia. W tych bowiem latach stosunek wzajemny obu braci uległ stopniowej przemianie, która już do końca ich życia dotrwała. Młodszy nabył i nabrał powagę starszeństwa, starszy skłonił się z rodzajem uległości; Stanisław nie przestawał doradzać, ale Jan rozstrzygał, postanawiał, wyrokował. Dawny z młodzieńczych lat opiekun, chętnie się teraz opierał na dzielniej-

szem ramieniu młodszego brata, chętnie z jego serca czerpał siłę i męstwo. Nawet w obejściu i formach zewnętrznych nastąpiła odmiana, bez żadnej ujmy dla dawnego zobopólnego przywiązania. Odkąd młodszy w kapłańską obleczony został godność, znika w listach dawna, z lat dziecinnych zachowana formułka: „Kochany Jasiu,“ zastąpiona pełnem uszanowania nazwaniem: „Drogi Księże bracie.“ Może to błahy odcień, ale nam się zdało, że w stosunku takich ludzi nic błahego nie bywa.

Z wyjazdem Jana Koźmiana do Rzymu, cały niemal ciężar *Przeglądu* spadł na ramiona brata, cała mechaniczna robota zaciężyła na panu Stanisławie. To też korespondencya wypełniona interesami redakcyi i kłopotami redaktora. Dzielił je z nim naprzemian i Kajetan Morawski i Stanisław Chłapowski, atoli główne brzemię zawsze barki Stanisława Koźmiana przygniatało. Dla odetchnienia i orzeźwienia się spieszył peryodycznie do Luboni, aby kilka dni z ukochanym spędzać Jenerałem. Wracały dla nich nieraz piękne dni Piotrowickie, zwłaszcza ilekroć Andrzej Koźmian przybywał zdaleka, aby wnieść w to poważne koło nowy zasób życia, wiadomości, przeróżnych planów i zamiarów. Dnie schodziły na wspólnych rozmowach lub czytaniu wzajemnem płodów muzy którego ze zgromadzonych w Luboni poetów. Szlifowano wiersze, poprawiano za wspólną naradą wadliwe przekłady Byrona lub Szekspira, spierano się o kwestye formy lub treści, stylu lub myśli. Istne to były posiedzenia akademiczne, bez konwencyonalnego natężenia i naprężenia, z łatwością i prostotą wiejskiego przyjaciół zebrania. Jenerał naprzemian sypał z rękawa konceptami i wierszami, o które nie dbał, ale które skwapliwie przez Koźmianów podjęte, stanowiły nieraz ozdobę pojedyńczego numeru *Przeglądu*. Wszystko, co polskie serca cieszyło lub bolało, tu się wiernem odzywało echem. Znajdowały się tam i chwile szczerej swobody, rozświecające szarą powszedniość dość smutnych czasów. Ludzie z tego pokolenia mieli więcej hartu, a zatem i przyrodzonej wesołości pełniejszy zasób. Mistyfikacye były na porządku dziennym w Luboni, zwłaszcza mistyfikacye literackie. Coraz to inny wierszyk pod innem nadchodził nazwiskiem. To sądzącemu konkurs nagradzający najlepszą na szulerów satyrę Jenera-

łowi, Stanisław i Andrzej Koźmianowie przesyłali pocieszny utwór z pocieszniejszym jeszcze listem, grożącym zalewem młodocianego talentu próbek, i dopieroż był tryumf, gdy sędziwy poeta nie domyślał się ani figla, ani onego sprawców, i z przestrachem wyglądał zapowiedzianej lawiny rymów; to zamieniano wierszowaną korespondencyę, Jenerał własne utwory kładł na karb swego ogrodnika lub lokaja i przeróżne ztąd snuł koncepta. Pewnego wieczora dłużej niż zwykle przeciągnęła się pogadanka, omawiano cechy właściwe prawdziwej poezyi, przechodząc do charakterystyki mniejszych poetów i praw ich do tego miana. Ktoś wspomniał Goreckiego, Jenerał mu żywo tytułu poety zaprzeczył, popierany w tem przez Andrzeja Koźmiana. Stanisław Koźmian wystąpił jednak przeciw tak bezwzględnemu wyrokowi, twierdząc, że nawet u Goreckiego napotkać można tu i owdzie iskry poetycznego natchnienia. Sprzeczka trwała długo, pożegnano się, nie przekonawszy wzajemnie. Nazajutrz jeszcze p. Stanisław odpoczywał smacznie, gdy nagły w domu gwałt go budzi, wpada służący z oświadczeniem, że p. Jenerał natychmiast do siebie prosi. Zrywa się Koźmian, spieszy jak podkomendny, biegnie przelękniony i cóż zastaje? Jenerała jak zwykle wczesną palącego lulkę, z oczyma lśniącemi tłumioną wesołością, podczas gdy p. Andrzej zdala wchodzącego witał szyderczym okrzykiem: Uznajemy się za pobitych! miałeś słuszność. Gorecki wielkim jest wieszczem! — I nuż wygłaszać najniedorzeczniejsze i najprozaiczniejsze z całego zbioru rymy.

Najwięcej wszelako zajęcia i ciekawości wzbudziły nietylko w tem wybranem kółku, ale i w całej Wielkopolsce tajemnicze *Listy z nad Orli*, których dzieje najlepiej będzie opowiedzieć słowami samegoż Koźmiana:

„*Przegląd* drukował się u Kamieńskiego, redaktora *Gazety* W. Ks. Poznańskiego; często więc z Kamieńskim się widywałem. Razu jednego począwszy narzekać, że *Gazeta*, lubo jedyne peryodyczne pismo codzienne na całe Księstwo, coraz więcej traci prenumeratorów, i że przezto już licha jego pensya zmniejsza się, prosił mnie, czybym czego nie wymyślił dla *Gazety*, coby mogło zająć publiczność. Obiecałem, że mu będę do felietonu od czasu do czasu przysyłał drobne artykuliki, ale pod warunkiem, że nikomu, nawet memu

rodzonemu bratu nie wyda autora. Tak się poczęły *Listy z nad Orli*. Przedmiotem ich była tylko literatura i literaci. Nie wchodząc wgłąb żadnej kwestyi, przesuwając się po wierzchu, a raczej skacząc z jednego przedmiotu w drugi, dobierając co mi tylko na myśl przyszło, anegdoty, dykteryjki, a nawet tak memu usposobieniu wstrętne facecye i dowcipki, pisałem te listy pobieżnie, od niechcenia, zgoła z tą junakieryą niedbałej rozrzutności, która figlarzy literackich cechuje. Listy te obudziły nadzwyczajne zajęcie. Głównym tego bodźcem była ciekawość, kto mógłby być ich autorem. To dowodzi, jak łatwo podobne ramoty klecić, i tłómaczy nadzwyczajną popularność, jaką zyskać mogą, zwłaszcza jeżeli się nietylko literaturą zajmują, ale i polityką i wszelkiemi salonowemi jak i brukowemi sprawami. W jednym z mych listów dotknąłem błędów, mieszczących się w łacińskich przedmowach p. Działyńskiego, któremi poprzedzał swe szacowne wydania. P. Działyński odpowiedział. Wszczęła się polemika. P. Działyński obiecał 500 talarów na cele dobroczynne za wiadomość, kto był autorem. Redakcya *Czasu* prosiła jednego z mych przyjaciół, aby, jeżeli się zdoła wywiedzieć, kto pisuje te listy, ofiarował mu jaką zechce zapłatę za dostawienie podobnych artykułów do dziennika krakowskiego. Wspominam te drobnostki tem śmielej, że te listy uważałem i uważam za wielkie bzdurstwo, za bańki mydlane, istnienia jednej doby nie warte. Nikt się nie domyślał. Bliżsi nie przypuszczali, abym tak zajęty, jak byłem, redakcyą *Przeglądu*, a nawet jego korektą, mógł mieć czas na poboczne drobnostki. Andrzej, zawsze ciekawy, świdrował na wszelkie sposoby, lecz dojść niczego nie zdołał. Jenerał Morawski obchodził zręcznie i zdaleka, często i w rozmowie i w listach *Orlę* napomykając. Choć sam zresztą tyle bąków literackich po świecie puszczał, tak był dobrodusznym i naiwnym, że łatwo go było oszukać. Około tegosamego czasu zaprowadzono gaz w Poznaniu. Zamieściłem więc w *Gazecie* satyrę, w której wytykając główne naszej prowincyi błędy i słabostki, ogłaszałem, że teraz przy świetle gazu wcale będzie inaczej. Między innemi było, że już teraz F. M. nie będzie w tece dusił swoich płodów i że zecerowie będą bez błędów

jego bajki drukować. Wiersz był gładki, podobał się Jenerałowi, który go chwalił, ale autora nie domyślił się“ [1]).

Jak zwykł był zawsze czynić z płodami własnego pióra, i tym razem Koźmian lekceważąco wspomina owe *Listy z nad Orli*, chociaż dotąd pobrzmiewa echo tych niedorównanych wzorów lekkiej, felietonowej pogadanki, zwłaszcza ilekroć jakie nowe odcinki niewiadomego autora odżywiają pamięć niezapomnianej a świetnej ongi mistyfikacyi. Ostatecznie, jak bywa stale w takich razach, tajemnicę zdarto, a raz uchyliwszy przyłbicy, bezimienny dotąd rycerz nie chciał już więcej zstępować w szranki. Wszyscy niezmiernie ubolewali nad nagłem urwaniem się *Listów z nad Orli*, a jenerał Morawski dawał wyraz ogólnemu żalowi, pisząc do Koźmiana: „Za niezawodną rzecz mi powiadano, że krytyk z nad Orli jest S. K. Jeżeli istotnie sekret wyjawiony, to dalej tych listów pisać nie będziesz, co wielką byłoby szkodą. Najlepiej kontynuować, a rzucić pozór autorstwa na kobietę; krzywdyby się jej pewno nie czyniło, a i Działyński jako kobiecie prędzejby przebaczył. Coby to świergotu narobiło między wszystkiemi samiczkami, co ciekawości i milutkich ploteczek!“

Bądź co bądź, umilkł korespondent z nad Orli, a nawet owe fajerwerki *à la Jules Janin* zginęły niepowrotnie w rocznikach *Gazety W. Ks. Poznańskiego*. Mało kto je dziś pamięta, odnaleść prawie niepodobna. Nie troskał się o to Stanisław Koźmian. Owszem, był zawsze zdania, iż podobne odcinki jednodniową miewają wartość i znaczenie, że to pyłki krążące w przestrzeni i o tyle tylko nabierające barwności i ceny, o ile je słońce aktualności opromienia. W skromności swej a dobroci prawidło to rozciągał do znacznej bardzo części swej piśmienniczej płodności. Sam w jednej z podręcznych notatek powiada, iż „najwięcej mu czasu zabierały te artykuły, które wołającym o pomoc pismom peryodycznym dawał, a które w nich utonęły.“

Oczywiście, rozrywano sobie każdy wierszyk czy artykuł, z tak poważnego pochodzący źródła. A choć Stanisław Koźmian nigdy się nie podpisywał, nie kładł nawet począt-

---

[1]) Pisma wierszem i prozą Stan. Koźmiana. Tom II.

kowych liter swego nazwiska, łacno go poznawano po misternem wygładzeniu stylu, po formie starannej a wykwintnej, po prześlicznym dźwięku mowy polskiej, którą może najpiękniejszym wierszem opiewał, a która pod jego piórem rzeczywiście bywała „promieniami tęczowana.“ Z dawnego zamiłowania do muzyki, została mu dziwna czułość na harmonię języka; słówko szorstkie, rubaszne lub obce go raziło, korciło, ba! nawet bolało! posuwał niemal do pedanteryi ową czujną straż nad czystością mowy polskiej, nad jej czcią i nieskazitelnością. Ilekroć napotkał jaką zaniedbaną formę, barbaryzm czy germanizm, choćby w najluźniejszym artykule, brał to zaraz do serca, jakby krzywdę wyrządzoną Ojczyznie, i zawodził śpiewne a gorzkie żale, iż sami uchybiamy czci należnej ojców mowie, gdy

w to godzim, by w jej przędzę
Wsnuć szych obcy, obce nędze —
Jej dźwięk rozbić w słów hałasy.

albo jeszcze, gdy

kazimy blask jej tarczy,
Tępim ostrze onej miecza,
Sami wrogów wiedziem w bramy
Jej warowni ......

Drażliwe na każdy dźwięk ucho wnet rozeznawało u każdego ze spółczesnych autorów, jaki zbyt często używany i nadużywany wyraz. Poznawał z najmniejszego urywku sposób pisania, myślenia, wysławiania się. Staranność, jaką chciał widzieć w stylu, rad i w wydaniach i w zewnętrznej szacie gazety lub książki znajdować. Błędy drukarskie trapiły go niesłychanie, a tak szybko je dostrzegał, iż dosłownie kłuły go w oczy. *The printer's devil*, szatanek drukarzy, jak mawiają Anglicy, nie miał sroższego przeciwnika. Sam korekty prowadził, nie własnych tylko artykułów. Wyrzekając raz na nudne i zmudne zajęcie, pisał do jenerała Morawskiego: „Ja tu niby w *Korrektions Haus* zamknięty siedzę, wyłącznie korektą zatrudniony.“ W jednym z *Przeglądów* spisał raz z wielką werwą dowcipu cały poczet bąków, jakich się nie-

godziwy szatanek w ubiegłych rocznikach był dopuścił. Jenerał Morawski znając ową słabość przyjaciela, udawał zawsze mocno zagniewanego, ilekroć do jego własnych wierszy przyplątał się jaki błąd drukarski. Raz mianowicie wyrzuca z mniemaną goryczą, iż zamiast *młody* wydrukowano *modły*, „ponieważ nawet zecerzy tak w *Przeglądzie* znabożnieli, że już tylko o modłach myślą.“ Innym razem pisząc do Przylepek na Ś. Stanisława, Jenerał snuje cały szereg rymowanych życzeń dla *Przeglądu:*

Aby się coraz bardziej rozmnażał, ustalał,
Aby w druku swym sensu mém wierszom dozwalał,
Aby *Czasu* swym mściwym przestał walić młotem,
A zwłaszcza Stwórcy świata nie stawiał za płotem.

Ostatni wiersz alluzyą do bardzo niefortunnego utworu Lenartowicza p. t. *Okno,* polemika zaś z *Czasem* głównie dotyczyła rzymskich korespondencyj, dostarczanych przez Wł. Kulczyckiego.

Podobnie jak *Listy z nad Orli*, Stanisław Koźmian mało sobie ważył całą swą literacką chudobę. Z wyjątkiem przekładów Szekspira, w których krajową upatrywał służbę i które prawdziwie *con amore* opracowywał, o resztę nie dbał i wcale nawet drukować nie zamyślał. Pełno miał wierszy w tece, gdzie byłyby może nazawsze pozostały, gdyby nie chrześciańskiego miłosierdzia natrętność. Po cholerze z roku 1852, powstały w Poznańskiem przytułki dla dzieci zarazą osieroconych. Domy te istniały jedynie prywatną ofiarnością. Umyślono przyjść im w pomoc corocznem wydawnictwem wiązanki literackiej p. t. *Pokłosie.* Kto mógł, niósł w dani kłosów parę dobroczynnemu przedsiębiorstwu. Koźmian wydobył z biórka spory poczet sonetów i co rok dostarczał niemałego snopka plennego zboża poznańskiej Rucie, tak pokornie zbierającej rozrzucone na niwie polskiego piśmiennictwa kłoski. Plony swej muzy, niedbałe umieszczone w bezimiennem wydawnictwie, dopiero w r. 1870 Stanisław Koźmian w jednę zebrać całość pozwolił. Urósł spory tom ulotnych i dłuższych utworów, sonetów, przekładów z poetów angielskich. *Do Mistrzów słowa* i *Polska mowa* doczekały się, jak

przynależało, pierwszego, poczestnego miejsca. Znalazło się i parę ballad, i bajek nieco. Cykl, pod tytułem *Moja okolica*, wdzięcznym wierszem obiega Turwię, Czerwonąwieś, Lubonię i Jurków. Forma najczęściej klassyczna, mimo romantyzmu dawnego warszawskiego studenta. Wszędzie nastrój wyższy, szlachetny — niekiedy prawdziwe natchnienie. Z pośród wielu ulotnych wierszy przypomnijmy tu mianowicie jeden, noszący tytuł: *Na morzu podczas burzy*, z datą imienin autora *Ziemiaństwa*, 7 sierpnia 1838 r.

W pośród szumu bałwanów, na morskiej głębinie,
Wnosimy twoje zdrowie, wieszczu ziemianinie,
Coś uczcił taką pieśnią wsi obywateli,
Jakiej królowie nie mieli; —

Coś z pod polskiego pługa wywiódł kwiatów tyle,
Że nadzieja rozkwitła nawet na mogile,
I że zwycięzka Polska na wybawców głowy
Znajdzie już wieniec gotowy.

W milczeniu wznieśmy zdrowie, nie zdradźmy nazwiska,
Bo zginiem. Już Ocean z zazdrości się ciska,
Że on starszy od ziemi, a jemu się jeszcze
Takie nie zrodziły wieszcze.

Trudno piękną i poetyczną myśl piękniejszym oddać wierszem! Chętną podający rękę bratu we wszystkich dobrych dziełach jego p. Stanisław, dla X. Jana stale i ochotnie układał okolicznościowe wiersze, ilekroć wychowująca się w zakładzie poznańskim młodzież składała życzenia lub powitania wyrazy Prymasowi Polski; nie skąpił i Urszulankom szerszego dytyrambu na cześć ich założycielki. Dobrem sercem dawał jałmużnę słowa i dźwięków swej lutni, którą podobnie jak stary Fredro uważał raczej za *„skromną bandurę."* Jakto już mieliśmy sposobność nadmienić, kładł on niezmierną różnicę między wieszczami narodu a pomniejszymi poetami. Określając stanowisko tych ostatnich w rzewnem o Gaszyńskim wspomnieniu, może najlepiej scharakteryzował i własną muzę i jej wpływ cichy a dobroczynny. Zastano-

wiwszy się bowiem nad trudnością stawienia słupów granicznych w literaturze i szeregowaniu poetów; przyznawszy pierwsze miejsce Mickiewiczowi, Krasińskiemu, Słowackiemu, Koźmian przypuszcza dalej, że Gaszyńskiego spotka tytuł miernego poety. I na to odpowiada trafnie, że takim tytułem pomiatać się nie godzi. „Wstręt do mierności jest naszą wadą narodową. Chcielibyśmy widzieć wszystko odrazu na wyżynach. Przyznajemy zasługę tylko temu, co na wysokościach błyszczy potęgą i chwałą. Wznieść się doraźnie, bez mozołu, bez stopniowania i przejść, to marzenie naszej młodości. Odzyskać w jednej chwili ryczałtem wszystko, co się powoli i potrochu traciło, to nieraz i dojrzalszego wieku ideał. Prawda, że trzeba mierzyć wysoko, by przynajmniej w pół ugodzić. Ale kto nie przestaje na mierności, gdy tę osiągnie, kto nie bierze jej za podporę do wejścia na następny tylko szczebel, ten zwykle niżej upada. Mierność życzeń i dążeń narodowych tworzy wkońcu potęgę. Podobnież, gdzie niema miernych poetów, tam i wielkich nie będzie. Oni są podstawą tej piramidy, na której szczycie geniusze zapisują swe imiona. Wielkich nie każdy i nie zawsze ma naród, bez miernych i na chwilę obyć się nie może, chyba pod karą duchowego znicestwienia. *Oni kształcą język, wydoskonalają tok i rytmy, bronią mowy od skażenia, zagradzają przystęp szaleństwom nowatorów.* Konserwatorowie w dziedzinie literackiej chronią ją od niebezpiecznych rozbiegów i przewrotów. *Skromni a pracowici, oni to jej przyswajają arcydzieła obcych narodów.* Utwory ich własne, lubo nie olśniewają piorunnemi blaskami arcymistrzów, zazwyczaj starannie wykończone, jasne, poprawne, pełne słodkiego uczucia, przystępne odrazu wszystkim, najprędzej się upowszechniają, przylegają do duszy, wrażają w pamięć i wlot obiegają po wszystkich szczeblach społeczeństwa, kiedy dzieła geniuszów potrzebują czasu, zanim pojęte zostaną. Oni torują tym ostatnim drogę, pochwytując od nich barwę i kierunek, popularyzując ich godła i hasła. Z pod ich pióra płyną najczęściej te piosnki, które stają się narodowemi. Oni na razie upamiętniają każdy większy wypadek, i nadając mu znamię poetyczne, budują duchową historyę narodu. Oni utrzymują związek „między dawnemi i młodszemi laty,“ między jedną dobą pomyślności

i chwały a drugą, chroniąc w długich często przestankach i przerwach naród od duchowego głodu i zupełnego zamierzchu, i w porze najcięższego ucisku, umieją go „karmić żalem i poić nadzieją.“ Jeżeli w tem znaczeniu pojmujemy miernego poetę, — niechże i Gaszyński nim będzie. Jako taki, choćby mu odmówiono przeważnego wpływu i samodzielności, byle mu przyznano, że zawsze męskim głosem przemawiał, żadnym namiętnościom i złym pochopom czasu nie schlebiał, a bezustanku wskazywał ku wyższym torom i sferom jaśniejszym, i że zostało po nim w spuściznie kilka pieśni, zrosłych już z duszą narodu, wejdzie on w poczet naszych zasłużonych mężów i wzorowych pisarzy, a wejdzie z wieńcem uwitym z dębowych liści cnoty obywatelskiej, z bluszczu rzewnej poetyczności, z cyprysowej wygnaństwa gałązki.“

Po tak trafnem a pięknem określeniu własnego zarazem stanowiska w literaturze ojczystej, choć mniemał, że tylko przyjacielowi należne przyznaje miejsce, już chyba nic dodać nie przystoi, a sąd potomności zgodzi się na przystrojenie grobowca Stanisława Koźmiana takimżesamym trojakim wieńcem cnoty obywatelskiej, rzewnej poetyczności i wygnańczej żałoby.

Gdy tak po upływie lat wielu urósł tom cały z wierszy dotąd nie drukowanych lub rozrzuconych, tom drugi, z artykułów prozą pisanych złożony, jednocześnie się ukazał. Jeśli tutaj już o tej publikacyi wspominamy, to dlatego, iż powstała przeważnie z prac w ciszy wiejskiej naoczas wysnutych. Ów tom prozy wieńczy prześliczne wspomnienie o jen. Morawskim, a poprzednio jest w nim i biografia Ojca Antoniewicza i kilka celniejszych artykułów dostarczanych *Przeglądowi.* Rozprawa o architekturze kościelnej przydałaby się dziś jeszcze *Przyjacielowi sztuki kościelnej.* Rzecz o Celtesie napisana poważnie, sprawozdanie z *Orvala* Bulwerowego zapoznaje polskich czytelników z angielską parafrazą *Nieboskiej Komedyi.* Dłuższa rozprawa o Machiawelu wywołała poklask Zygmunta Krasińskiego, który w następnych słowach przyjacielowi udzielał doznanego wrażenia: „Dziś chcę słów kilka o *Machiawelu.* Nigdym w żadnym dzienniku polskim tak wybornie i głęboko wypracowanego artykułu nie czytał. Doskonale, przezacnie, przerozumnie napisany. Obraz Włoch dokładny, istotny, kilkoma zarysami mistrzowsko malujący

ówczesne położenie. Ale co mnie najbardziej zajęło i podziw mój obudziło, to zręczne a tak rzeczywiste zestawienie i porównanie losu italskiego z naszym, i ztąd wyciągnięte prawidła, przestrogi, analogiczne spostrzeżenia. To wszystko dziwnie jest prawdziwem i wrzynającem się w serce prawdy płytem. Machiawel tam, Centralizacya tu. Udało ci się. Styl, jakim być powinien, gładki, płynny, bez żadnej przesady ni szumu, a mądry i spokojny. Tem więcej *Przegląd* ukochałem, że takie w sobie zamieszcza skarby dla sumienia publicznego, i tembardziejbym nieskończenie żałował, gdyby miał się przerwać i umilknąć. W obecnem położeniu rzeczy niktby go nie zastąpił, to pewna! Ktoby zaś próbował, tegoby zaraz posądzano i oskarżano o stosowanie się do chwilowych okoliczności, kiedy tymczasem jemu tego zarzutu nikt uczynić nie potrafi, bo wśród wszystkich najrozmaitszych zdarzeń był zawsze od początku jednym i tymsamym! Ztąd jego siła, powaga i władza.“ (Z Rzymu, 22 kwietnia 1852 r.).

A więc, jak dawniej po różnych etapach tułaczego życia płynęły listy Zygmunta ku wiernemu przyjacielowi, zdążały z Rzymu, z Heidelberga, z różnych zagranicznych stacyj ku cichej wsi wielkopolskiej. W nich coraz większa przyświecała czułość, wdzięczność i przywiązanie. „Kocham cię, błogosławię ci, powierzam się tobie,“ oto wciąż powtarzająca się tej korespondencyi zwrotka. „Niech szczęście i pomyślność przylepią się do Przylepek,“ woła Zygmunt w weselszym raz nastroju. I znów, gdy p. Stanisław donosi mu, iż na wieść o chorobie jego starszego synka własne za dziecko ofiarował cierpienia, wzruszony do żywego ojciec takie rzewne szle podzięki: „W chwili, w której żaden z tych, co mię kochają i których kocham, niczem nie mógł przynieść mi żadnego ratunku, pomocy, nadziei, ulgi, — ty — mimo czas i przestrzeń, mimo wszelkie niepodobieństwo i niemożliwość, wynalazłeś sposób przedarcia się gwałtem ku źródłu, zkąd spływa ratunek, zkąd zbiega pomoc, i w one źródło rzuciłeś coś takiego, co ściąga tę pomoc, co wywolywa ten ratunek. Uczyniłeś mnie i Adziowi, czego uczynić nie można było. Dzięki ci, mój drogi, dzięki ci. Cierpienieś swe oddał, kazałeś mu walczyć przeciw cierpienie mojego dziecka. Głębokiegom doznał wrażenia, list twój czytając, i nigdy to wra-

żenie z pamięci mej się nie wygluzuje, bo jest w tem coś, co styka się z cudownemi okręgi. Jest *możność* tam, gdzie *nie można nic*. Jeszcze raz dzięki ci."

Ale nie same listy przybywały do Przylepek w gońce od dawnych przyjaciół. Raz po raz który z nich wstępował w te skromne progi, niekiedy i z za morza pojawiali się goście, synowie już owych angielskich znajomych w zaraniu emigracyi. Nawzajem liczne ku Anglii płynęły ztąd listy, dawny stosunek się nie zrywał, cenne informacye w tę i w ową szły stronę. Zwątpiwszy zbytecznie o spółczuciu Europy i interesowaniu się jej nami, zaniechaliśmy obznajamiania reszty świata z tem, co się u nas dzieje, robi, pisze i myśli. Czy to dobry, czy słuszny i korzystny systemat? Widzimy przecież, jak Kroaci, Serbi i inne pobratymcze plemiona łamy międzynarodowego dziennikarstwa wypełniają sobą, swemi aspiracyami, pracami, ruchem umysłowym. U nas tymczasem chyba się wieść skandaliczna przedrze o Polaku, który dzieląc hulanki księcia Walii, pasowan został na rodzaj faworyta, o innym, który w Rzymie lub Paryżu nas kompromitował, o bohaterach komuny lub międzynarodowych spisków; ale natomiast popisać się tem co zacne, co rzetelne zasługą, talentem, pracą, nikomu się już nie śni. Wystarczy przypomnieć, jak po świeżym zgonie śp. Stanisława Koźmiana, z wyjątkiem londyńskiego *Atheneum*, żadne pismo zagraniczne o nim nie wspomniało, bo nikt się z ziomków o to nie postarał. A jednak zmarły stanowiskiem, znajomością Szekspira i studyami nad jego dziełem, należy do literatury wszechświata, ma prawo do kosmopolitycznego rozgłosu. Otóż ludzie uprzedniego pokolenia mieli zrozumienie owej powinności wywieszania naszych znaków, przypominania światu, że żyjemy — bo pracujemy, bo nie zalegamy pola w ogólnym ludzkości trudzie. Nie przestawał on pisać do swych angielskich przyjaciół, kołatać do angielskich dzienników, gromadzić dla nich odgłosy wybitniejsze z naszej niwy. Pisząc przy biórku w skromnej salce dworku Przylepkowskiego, nieraz kładł pióro bądź, aby dziatki swe uczyć z miłością, bądź aby badać otaczającą go przyrodę, która dla poety osobny miewała czar zaklęty. Wszystko go zajmowało, życie ptasząt, gwar owadów, rozwój stopniowy najpospolitszych

roślin, ale zawsze największy urok znajdował w śledzeniu obyczajów i zajęć pracowitych pszczółek, unosił się nad ich rozumem, skrzętnością i ładem, gwałcił tajemnice ulów, opisywał barwnie i wdzięcznie życie tych ulubionych owadów, miód nad inne przekładał przysmaki i stołu ozdoby. Podejrzywano go nawet wśród przyjaciół, iż dlatego tak obszerne łany rzepaku obsiewa, tak się interesuje pomyślnym z wiosną stanem opiewanego w *Panu Tadeuszu* „bursztynowego świerzopu,“ że na żółtem, wonnem kwieciu ukochane pszczółki najlepiej po głodzie zimowym nasycić się potrafią.

Własna jego korespondencya z owej epoki nie może nam dostarczyć wątku do snucia dalej tej pobieżnej biografii. Sprawy *Przeglądowe* wyłącznie niemal wypełniają list każden. Przytem są tam echa potocznych zdarzeń, wiadomości o krewnych, o znajomych, opisy wycieczek w sąsiedztwo lub nawiedzin przyjacielskich; rzadko kiedy wybitniejszy znajdzie się ustęp lub odgłos. Raz pisze z nietajoną radością dotychczasowy emigrant: „Spieszę donieść ci doskonałą wiadomość. Mam naturalizacyę. Dziś rano wezwał mnie landrat do protokułu, który jest tylko drobną formalnością i poprzedza wpisanie do ksiąg ludności. Dzięki Bogu i dzięki dobrym duszom, które się za mnie modliły.“ I znów gołosłowna wiadomość pod datą 6 sierpnia 1857: „Zawiązało się w Poznaniu Towarzystwo naukowe; Cieszkowski prezesem, Działyński wiceprezesem. Dziś otrzymałem nominacyę na członka.“ Nie przeczuwa dostojeństw i znojów, jakich mu kiedyś owa nominacya przysporzy.

Kilkorazowe wyjazdy do wód, do Karlsbadu, Marienbadu, Kołobrzega, przerywają jedynie stały pobyt w Przylepkach. Odżywia w przelotnych spotkaniach dawne stosunki i dawne przyjaźnie, aby z lepszem zdrowiem i świeższą ochotą wracać do swego ustronia i ulubionych zajęć. W ciszy wiejskiej ukształca się ostatecznie, dojrzewa, przybiera skończoną już doskonałość, ten charakter szlachetny, serce podniosłe, duch dobry i czuły. Nie tu miejsce podnosić wyższość wsi nad miastem, prawdziwość ludowego orzeczenia, iż Bóg stworzył pierwszą, ludzie zbudowali drugie. Ale to pewna, że pobyt wiejski dziwnie korzystnie i dobroczynnie wpływa na rozwój umysłowy i wyrobienie charakteru. Wśród miasta

i ludzi, o trwalsze wrażenia, stalsze, indywidualne myśli, spokojne zajęcia trudniej. Chcąc skupić się w sobie, nabrać zasób sił moralnych, sił polotnych, niema jak wieś, jak styczność z przyrodą, a choćby nawet dorywcze rolnicze zajęcia. Starożytny myt o Anteuszu, nabierającym coraz to nową moc za każdem dotknięciem się matki ziemi żywicielki, sprawdza się po dziśdzień często korzyścią, jaka płynie dla ludzi pióra, dla duchów myślących, z pobytów wśród wiejskich zaciszy......

Nie stracone też były owe lata w Przylepkach strawione. Ale zachód życia się zbliżał, słońce się nachylało, a przeróżne względy radziły po kilkunastu latach pracy na własnym zagonie, przygodniejszego na starość poszukać zajęcia. Z początkiem roku 1867 Stanisław Koźmian postanowił swoje Przylepki w zaufane oddać ręce, aby się przenieść na resztę dni swoich do Poznania, gdzie obecność ukochanego brata osobnym dlań była magnesem. Nie bez żalu na ten krok się zdobył, aczkolwiek i rozsądek i rady życzliwych za nim przemawiały. Oto, jak o tej odmianie donosi: *„Jacta alea est.* Wczoraj przyszliśmy już do stanowczego układu z K... Proszę tylko Boga, aby żaden z nas później tego nie żałował. Nie mów jednak o tem nikomu, bo tu mamy jeszcze do 1go listopada zostać, a przykre byłyby nam żale naszych służebnych i sąsiadów. Wielki mi żal mego cichego kątka. Ani mam wyobrażenia, jakto będzie w mieście.“

Liczne ciosy lat ostatnich, padające na najbliższą a ciężko osieroconą okolicę, ułatwiały Koźmianowi wyrwanie się ze stron, gdzie już niemal więcej miał przyjaciół na cmentarzach, aniżeli wśród żyjących. Zgon mianowicie jenerała Morawskiego był dla niego rodzajem osierocenia. Z pozostałymi Koźmian zachował dawne, bliskie, sąsiedzkie stosunki, odwiedzał ich póki sił starczyło co lato, przelewał na dzieci i wnuki życzliwość ojcom poślubioną, słowem, nie wykorzenił się sercem z drogiej mu do końca okolicy. Rokrocznie mianowicie powracał do Szóldr, włości pp. Stanisławowstwa Chłapowskich, aby tamże ciepłą spędzać porę pod opieką najtkliwszej siostry, jaką w osobie pani domu był znalazł. Zresztą stale przebywał w Poznaniu, i po krótkiem w Dre-

znie pobycie, już nie opuszczał domu *pod Opatrznością*, na Młyńskiej ulicy położonego.

Spiesząc za żartko upływającą życia falą, pominęliśmy może niejeden szczegół i rys znaczący, nie zatrzymaliśmy się jak należało przy każdym punkcie wytycznym tych dni, tak pełnych i zasłużonych. Ależ punktami wytycznemi życia najczęściej bywają krzyże, a tych nie brakło i Koźmianowi, choć z chrześciańską pokorą umiał zawsze kornie uchylić czoło i klęknąć czy pod krzyżem, czy na mogile kochanej. Śmierć lorda Stuarta w r. 1854, zgon Zygmunta Krasińskiego w r. 1859 i tyle a tyle innych strat serdecznych przyszłoby nam z kolei zapisywać, wraz z żałobnym oddźwiękiem wywołanym w duszy Koźmiana, który podobnie jak sędziwiejący Guizot mógł zaiste wołać: *Je suis las de voir mourir!* Mnożyły się też klęski publiczne; rok 1863 nietylko bólem, ale i obcą zazwyczaj tej duszy słodkiej i miłującej, goryczą ją napełnił i napoił. Biadał nad otchłanią, w jaką kraj wtrącono, gryzł się obniżeniem ideałów u młodzieży, martwił i truł, jak tylko Polakowi przez całe życie martwić i truć się przychodzi. Wszystko to razem wzięte przyspieszyło dla niego zwykle później następującą w życiu sędziwości porę. Wprawdzie władze umysłu i świetne zdolności się nie stępiły, gorącość serca nie ostygła, jasność myśli nie uległa zaćmieniu, ani ochota do pracy nie znikła, ale sił fizycznych ubyło, nadwątlone zdrowie coraz większych wymagało starań, spokojności i ciszy, a dotkliwe cierpienia, nie nadwerężając pogody ducha, ostrzegały wcześnie o zbliżającym się powoli końcu. Nasłuchiwał owo wezwanie ś. p. Stanisław Koźmian przez kilkanaście ostatnich lat życia z chrześciańską gotowością, co chwila spodziewał się być odwołanym i dlatego może z tem większą gorliwością imał się każdodniowego trudu aby jeszcze rozpoczęte dokonać, uzupełnić dzieła. Powiedziano trafnie, iż człowiek powinien pracować jak gdyby miał żyć wiecznie, a żyć jak gdyby miał umrzeć jutro. Radę ową spełniał ustawicznie Koźmian. Na parę lat przed własnym zgonem, przesyłał najbliższemu może z pozostałych jeszcze przy życiu przyjaciół, życzenia określające trafnie ten właśnie okres życia, w którem sam za przybyciem do Poznania wstępował: „Po pracowitej i użytecznej wszystkim młodości,

nic piękniejszego nad pogodną starość, pełną miłości dla ludzi i u ludzi, otoczoną powszechnym szacunkiem, wzmagającem się przywiązaniem rodziny i przyjaciół, a ukrzepioną głosem własnego sumienia, że się żyło dobrze, wielce użytecznie ludziom, wiernie Bogu i Ojczyznie.“ Wydając to świadectwo owemu najmilszemu swemu sąsiadowi i przyjacielowi, Stanisław Koźmian bezwiednie własną malował sędziwość. Ta miłość dla ludzi i u ludzi niebawem miała go wysunąć na wybitne stanowisko, powołując go do rządzenia najpierwszą, a bodaj jedyną instytucyą samoistnie polską w wielkopolskiej dzielnicy.

Zaledwie bowiem kilka miesięcy spędził w Poznaniu, aliści powszechne dla zasług jego uznanie, szacunek i zaufanie członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk wezwało go do piastowania godności wiceprezesa rzeczonego Towarzystwa. Gdy zaś w siedm lat później (1875 r.) śmierć Libelta opróżniła miejsce głównego przewodnika uczonego grona, jednomyślnie następcą zmarłego prezesa obrano Koźmiana, czcząc w nim i osobiste zasługi i uosobienie tradycyi najświetniejszych czasów i najprzedniejszych mistrzów naszej literatury.

Szczęsna byłato myśl, zdrowy instynkt społeczny, który do tego przodownictwa zaprosił człowieka tej miary i tego rodzaju, co Stanisław Koźmian. Dla kierowania instytucyą, posiadającą naczelną w kraju doniosłość, nie wystarcza mąż odznaczony wielkim talentem lub rozumem, nie sprosta zadaniu zwykły, choćby najzdolniejszy pisarz, literat, poeta czy historyk. Na takie stanowisko potrzeba czegoś więcej: europejska kultura, ogłada i wykwintność, szerokie stosunki i szerokie poglądy są tu niezbędnym warunkiem. Imię przewodniczącego musi zarazem być i firmą zaszczytną wobec innych części kraju, takt powinien o prym walczyć z zasługą, charakter być i bardzo stanowczym i bardzo pojednawczym, w rządach zaradność iść o lepsze z śmiałą inicyatywą. To wszystko znalazło się u nowego prezesa. Niedziw też, iż nawa instytucyi, której ster mu powierzono, odrazu na najpomyślniejsze wpłynęła fale. Nazwisko Koźmiana było już poniekąd sztandarem, nawiązującym Towarzystwo z piękną piśmiennictwa polskiego epoką. Charakter jego jak wraz się

nadawał do trudnego, przejściowego okresu, w jakim się znajdowało właśnie Koło Poznańskich Przyjaciół Nauk. Nie miało ono dotąd ani ustalonych ustaw, ani własnego zakątka. Zbiory nieużyte ginęły w pakach, kurzawa na nich osiadała, nie było podobna nawet zrobić inwentarza własności i bogactw początkującego muzeum, dla braku miejsca i mieszkania. W publiczności interes dla Towarzystwa pozostawał uśpiony, liczba członków była stosunkowo szczupłą, obojętność ogólną. Zapisy Seweryna Mielżyńskiego miały niebawem zmienić dotychczasowe zacieśnione warunki bytu. Atoli rzecz szła w odwłokę, tysiączne powstawały opóźnienia, utrudnienia, przeszkody. Niczem nie zrażony, ani zniechęcony nowy prezes, całą duszą umiłował powierzoną sobie instytucyę, wszystkiemi siły do końca życia, jął jej służyć. A najlepszym dowodem, jak skuteczne okazały się jego zabiegi, to porównanie stanu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdy Koźmian na jego czele się znalazł, z obecnym tej pięknej instytucyi rozwojem. Pod rządami nowego prezesa stanął gmach muzealny Imienia hr. Mielżyńskich, rozmieszczono zbiory, ułożono bogatą galeryę, otworzono bibliotekę na użytek publiczny. Nową czynnością zapłonęło życie wewnętrzne Towarzystwa: jęły się mnożyć odczyty, cenne nakłady, wydawnictwa znakomite. Zbudził się interes ogołu, przystąpienie do uczonego grona stało się niemal modą, a więcej jeszcze obowiązkiem obywatelskim. Posypały się hojne ofiary, bądź na dokończenie gmachów muzealnych, bądź na ich wypełnienie tak wspaniałemi np. darami, jak księgozbiór X. prałata Koźmiana; do galeryi Miłosławskiej przyłączyły się obrazy p. Ciecierskiego; dalej jubileuszowe dary Kraszewskiego, zbiory Bielickich i płynące nieustanną falą mniejsze przesyłki. Nawiązały się stosunki z uczonemi zagranicznemi towarzystwami, z wybitnymi mężami nauki. Towarzystwo Przyjaciół Nauk zasłynęło szeroko rządnością, ładem, działalnością umiejętną, coraz bogatszemi zbiorami. Niemcy nawet skłaniać się poczęli i zdumiewać wobec instytucyi powstałej i rozwijającej się wyłącznie na podstawie obywatelskiej, prywatnej ofiarności, bez poparcia ani subwencyi rządowej. Oczywiście nie sam prezes tych wszystkich dzieł dokonał własną wyłącznie ręką, całe Księstwo z nim spółdziałało, a światłe grono najbliższych

pomocników i trud i zasługę z nim dzieliło. Nie ulega jednak wątpliwości, że on był osią i główną sprężyną całego tego ruchu z lat ostatnich, on podstawą i pobudką rozwoju Towarzystwa, on środkiem skupiającym w jednym kierunku wszystkie usiłowania. Tajemnicą może tak błogiego rządów jego wyniku, tak obfitych owoców, jest miłość, którą ogarnął powierzoną sobie instytucyę. Żył z nią i dla niej, ukochał jak własne dziecię, dla niej niejeden trud ponosił i gorycz znosił, troskał się każdem niepowodzeniem, radował najmniejszą pomyślnością. Własne w nią ognie przelał, a wśród rozlicznych, nieraz sprzecznych żywiołów, z których się każde liczniejsze składa stowarzyszenie, musiał być zawsze

tą siłą, co skłania
Nad śmierć silniejszą, siłą ukochania.

Krzepnącą już ręką jeszcze załatwiał sprawy Towarzystwa, gasnącym umysłem kłopotał się o potoczne onego interesa. Gdy na parę lat przed zgonem zbudzony został w nocy pobliskim pożarem, niedbały o własne sprzęty i pamiątki, zatrwożył się jedynie o bezpieczeństwo najdroższych skarbów Towarzystwa. Zamieszkał bowiem w najbliższem sąsiedztwie gmachów muzealnych i gdy pod koniec życia nigdzie się już z domu nie ruszał, ostatek sił dobywał, aby przechodzić do przyległego muzealnego domu.

Przytem własną bezinteresownością ułatwiał i materyalnie byt Towarzystwa. Jak niegdyś ofiarował się na bezpłatnego sekretarza Tow. Przyjaciół Polski w Anglii, tak obecnie bezpłatnie sprawował urząd prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, sutą pensyę, jaka do tej godności jest przywiązana, odstępując na rzecz rozwijającej się coraz szerzej instytucyi. Taksamo bywało i z literackiemi honoraryami. Najczęściej pisywał bezpłatnie, udzielając pomocy swego pióra wołającym ratunku pismom. Gdy zaś za obszerniejsze prace lub wydawnictwa otrzymywał jakiekolwiek księgarskie wynagrodzenie, stale ów dochód osobisty na dobre obracał uczynki.

W tych też latach dopilnował wydania pism swoich wierszem i prozą, wzbogacił trzema tomami przekładów Szekspira narodową literaturę, zebrał dawniejsze studya i

wspomnienia wygnańcze w książce zatytułowanej: *Anglia i Polska*, wydał *Podróż nad Renem i w Szwajcaryi* z lat dawniejszych, wiele rozpraw czytywał w kole Przyjaciół Nauk, z których celniejsze ogłosiły Roczniki Towarzystwa. Żmudna, biurowa praca wiele mu czasu zabierała, ale na nią nie narzekał, rad służyć do końca ile sił starczyło umiłowanej przez się instytucyi.

Przy tylu zajęciach, jeśli dla rodziny, dla przyjaciół zawsze miał dosyć czasu, dla świata mu go zabrakło, a i sił w tej mierze nie stawało. Zamknął się tedy, odgraniczył od gwaru miasta w swem cichem mieszkaniu, nie wybiegał zeń prawie nigdy, a z wyjątkiem najbliższego kółka, wieczorem mało kogo przyjmował. Kto pragnął go widzieć, w każdej dnia chwili zastawał go w własnym pokoju, gdzie przed obszernem biórkiem długie godziny trawił. Mimo stosunkowego odosobnienia, właściwością żywych umysłów, interesował się potocznemi sprawami, wiadomościami, odgłosami. Polityka, literatura, objawy społeczne, życie towarzyskie, wszystko go zajmowało, każde echo dalekie chwytał z ciekawością, z świeżością wrażliwości, która odznacza dusze dość młode, aby się nigdy nie zestarzeć, nigdy nie zawiędnąć ani skamienieć w wstecznem ku przeszłości wspomnieniu i zwrocie. Choć chętnie dawne przypominał czasy, nie narzucał się z niemi, owszem, dzielił chętnie nowe młodszych od siebie zabiegi, aspiracye, pojęcia i zajęcia. Każda nowa książka żywą w nim budziła ciekawość, nowe talenta szczerze zajmowały, nowe kierunki zwracały jego uwagę badawczą. Zamiast przystanąć w drodze życia, jakto niekiedy bywa u starców, szedł dalej a dalej razem z innymi, młodszymi, i dlatego może tem więcej od wszystkich był kochany, bo wszystko umiał tak żywem dzielić i odczuwać sercem.

Ilekroć jaki gość znakomity nawiedzał stolicę Księstwa, jaki obcy pojawił się przybysz, z głębi kraju zjeżdżał wybitniejszy podróżnik, natychmiast spieszył w progi cichego na Młyńskiej ulicy mieszkania. Niekiedy, choć zrzadka, nie pojedyncze bywały tu odwiedziny, ale drzwi naoścież się otwierały dla przyjmowania licznych a zacnych gości. Przewodniczący najpierwszej w Poznańskiem instutucyi witał tu za każdym razem przybywających z odczytami krakowskich

profesorów, podejmował Deotymę, świetnie ugaszczał dobrane zaproszonych koła. Uchylając się od zwyczajów pustelniczych, do jakich go zdrowie coraz wątlejsze zniewalało, spieszył brać udział w tych wyjątkowych dla Poznania świętach, z zajęciem wolnych słuchał głosów w dzielnicy, gdzie tak rzadko danem bywa polskiem karmić się słowem, a wywdzięczając się za doznaną rozkosz, następnie u siebie gromadził miłych sercu gości, przyjmując ich z tą wykwintną ogładą, która osobnym była u niego wdziękiem.

Wszystko też, co w każdem mieście przeszło w zwyczaj *intelligencyą* nazywać, a co w Poznaniu wcale pokaźny i poważny zastęp stanowi, skupiało się wokoło szanownej osoby czcigodnego prezesa. A więc dziennikarze, profesorowie, uczeni różnego kierunku, zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk i czynniejsi onego członkowie, księgarze i wydawcy, a wśród nich nierzadko widniała siwa głowa Jana Konstatego Żupańskiego, którego trafnie Stanisław Koźmian nazwał „Szafarzem sławy,“

co w całej krainie,
Kędy brzmi mowa polska, z świetnych wydań słynie.

Mimo nazwiska jakie nosił, a które ogólnie w kraju a szczególnie w Wielkopolsce spornego nabrało znaczenia, mimo niezłomności zasad i śmiało wywieszonych przekonań, Stanisław Koźmian wszystkich bez wyjątku ku sobie pociągał, jednał pojednawczą słodyczą obejścia, nie znał przeciwników, nie miał nieprzyjaciela. Uwidoczniała się w jego osobie, w roli społecznej, jaka mu w udziale przypadła owa obietnica Pańska, którą w czyn wprowadzał, aby jej owoc następnie odnosić: „Błogosławieni pokój czyniący......“

A mimo osieroceń lat ostatnich, zostało jeszcze Koźmianowi kilku przyjaciół bliższych, nie brakło mu społeczności kilku duchów wybranych. Gdy go już wkońcu niemal wszyscy odumarli, został jeszcze w sąsiedztwie, na tejsamej ulicy, o kilka zaledwie domów, szczery druh z pięknych lat niepowrotnej przeszłości — August hr. Cieszkowski. Im bardziej pusto robiło się wokoło nich dwóch, im więcej rówieśników znikało, tem ściślej i serdeczniej splatały się ich dłonie, myśli i serca. „Jak na łanie zżętym, tu i owdzie luźne kłoski

słaniamy się ku sobie“ pisał Bohdan Zaleski do X. Jana Koźmiana, określając rzewnie przerzedzające się szeregi dawnych przyjaciół i wzajemną pozostałych ku sobie tęsknotę... Nie było tak późnej godziny, w którejby hr. Cieszkowski nie zachodził do czuwającego także w późną noc Koźmiana. A gdy tak zeszli się razem, w powadze pięknej sędziwości, czuło się wciąż między nimi obecność trzeciego, wspólnego ich przyjaciela, którego pamięć najsilniejszym połączyła ich węzłem. Z trzech dziś już tylko jeden pozostał, *ostatni*... I raz jeszcze zapragnął przypomnieć zagrobowym hołdem ową idealną spójnię do miary ideału podniesionych duchów. Na trumnie Koźmiana wśród mnogich wieńców, osobne rzewne wrażenie sprawiała równianka z napisem: „Od zmarłego Zygmunta i żałobnego Augusta...“ A może na tem miejscu przypomnieć się godzi jeden jeszcze ślad utrwalony owej pięknej przyjaźni. Na parę lat przed zgonem Stanisław Koźmian skreślił był udatny wiersz, bezimiennie malujący stosunki poznańskie, wybitne osobistości, przewodnie zabiegi. Najpiękniejszy ustęp dostał się był w udziale dziś „żałobnemu Augustowi,“ który już sam jeden pozostał z serdecznych druhów grona. Opisawszy w dwóch wierszach własne mieszkanie, gdzie tęsknie wyczekując ukończenia gmachów muzealnych, patrzy z swych okien prezes i elegie pisze, w tych słowach kreślił dalej portret przyjaciela:

W sąsiedztwie — kilka kroków — tam mędrca ustronie,
Co w schyłku lat młodzieńczą żarliwością płonie.
Duch wielki, serce złote, — najpierwszy w ofierze
Każdą społeczną pracę w swą opiekę bierze;
Każdej z nich jego ręka i siła młodzieńcza
Kładzie kamień węgielny, każdej szczyt uwieńcza;
Rozgrzewa piśmiennictwo, ruch w naukach budzi,
Wszędzie ludzkość roznieca, — bo ukochał ludzi;
Wspaniałością pomysłów, dziełami mnogiemi
Podnosi w obcych krajach cześć rodzinnej ziemi.
A śledząc drogi ducha, pochód ich i cele,
Z modlitwy Pańskiej stawia wskazówki na czele.

Piękny ten, a tak trafnie charakteryzujący wiersz, dziś robi wrażenie testamentu, w najwłaściwsze ręce przekazują-

cego odpowiedzialności związane z przewodniczeniem najpierwszej w Wielkopolsce instytucyi...

Najczęstszym atoli, najdroższym gościem w domu pana Stanisława był zawsze przez lat wiele brat jego ukochany, X. Jan, znajdujący wśród utrudzonego ciągłem poświęceniem życia dość czasu, aby codziennie niemal, choć przelotnemi odwiedzinami, spełnić rodzinny obowiązek i rodzinnej zaczerpnąć pociechy. Spieszył on na Młyńską ulicę, aby odetchnąć przy braterskiem sercu po trudach i troskach powszednich i na dalsze ukrzepiać się tam znoje. Ścieśniało się w tym codziennym stosunku dawne, z domu rodzicielskiego wyniesione dziecęce i młodzieńcze uczucie. Jedność pojęć i dążeń wytwarzała między nimi coraz serdeczniejszą spójnię; burza oszczerstw, wzniecona niebawem przeciw osobie znakomitego kapłana przez zazdrosnych każdej wyższości nikczemników, boleśnie się odbiła w duszy starszego brata. Wkrótce jednak doczekał chwili, w której godzina ciężkiego ucisku wywiodła znów X. Jana na przewodnie stanowisko, pasowała go na najczynniejszego rycerza świętej a prześladowanej sprawy, na prawą rękę prymasa Polski, na filar Kościoła, a raczej istny kamień zworny, zamykający mur jednolitego odporu i oporu. Byłyto jednak ostatnie blaski dopalającej się pochodni wiary, gasnącego już, bo przepalonego ciągłą ofiarą serca. I tego najdroższego brata przeżyć p. Stanisławowi było przeznaczonem. Gdy nadeszła żałobna z Wenecyi wiadomość, 19 września 1877 r., złamał się nadługo i dopiero powoli ukoił ciągłem rozpamiętywaniem tej przedziwnej spółki braterskiej, która od kolebki do grobu ozłacała im życie. Odtąd zatęskniony wzrok coraz częściej obracał ku zagrobowemu światu, mówił częściej o śmierci, i śmiało a pogodnie, jak chrześcianinowi przystoi, patrzał jej w oczy.

Wszakże nie zaraz miał on za bratem pospieszyć. Przeszło siedm lat dłużej trwała jeszcze jego doczesna pielgrzymka, a w onych siedmiu latach nie założył rąk bezczynnie, nie dał usnąć w martwym odpoczynku zdolnościom swego umysłu. Przeciwnie, do własnych zajęć przydał niby spuściznę po zmarłym odziedziczoną bracie, żywy interes dla powodzenia i rozwoju *Kuryera Poznańskiego*, któremu X. Jan przewodniczył w ostatnim życia okresie. Podejmując myśl

brata, p. Stanisław jął się skrzętnie zajmować szacownem czasopismem, które w cieniu lat *Kulturkampfem* zamąconych, tak walne społeczeństwu wielkopolskiemu oddaje usługi. Choć pod względem politycznym rzadko się odzywał, nie przestawał zasilać *Kuryera* światłą radą i literackiemi wiadomościami. Po niejakim czasie umyślił dział ten oblec w formę stałą całotygodniowych odcinków, którym nadał tytuł: *I zbliska i zdaleka.* Chociaż przeważnie młodsze, początkujące siły do tej zaprosił roboty i sam zaledwie parę celniejszych felietonów napisał, zachował ogólną dyrektywę, każdy odcinek przez jego przechodził ręce, ulegał przejrzeniu, poprawkom, licznym nieraz amputacyom, z których znów się wobec autorów tłómaczył. Ztąd wywiązała się stała i częsta korespondencya, mogąca kiedyś posłużyć za istny kurs felietonowej literatury. Nie przepuszczał żadnej bowiem usterce myśli ni formy, niewłaściwie położony przecinek karcił, o cudzoziemskie słowo niebacznie wtrącone istny wytaczał proces, natychmiast podsuwając nie jeden, ale kilka naraz odpowiednich polskich wyrazów. Gdy zaś było co pochwalić, chwalił serdecznie i szczerze, zachęcał do dalszej pracy, zadawał temata do obrobienia właściwe, co kilka dni przesyłał w formie życzenia surową treść najbliższego odcinka. A jakby dla odjęcia swym listom charakteru mentorskiego lub cechy jakiegobądź pedantyzmu, umiał je okraszać najbujniejszym plonem wiadomości potocznych, najczulszym wyrazem ojcowskiej przychylności. Możnaby niejedno przytoczyć z owej korespondencyi, odzwierciadlającej na benefis młodszych felietonistów cały niemal ruch bieżący z dziedziny literatury i towarzyskiego zarazem życia. Kilka urywków najlepiej tu za próbkę rodzaju posłużą, naprzykład list z początku 1880 r.:

„Pewnie ci się nie spodobają zmiany, które znajdziesz w jutrzejszym odcinku. Z niektórych się tłómaczę. Nader to ślizkie a niebezpieczne zdanie, że teatr nie powinien być szkołą, ale zwierciadłem obyczajów. Mnie się zdaje, że nawet we Francyi teatr nie jest takiem zwierciadłem. Bierze rzadkie wyjątkowe położenia, te uogólnia, rozprzestrzenia aż do potworności, wyprowadza z nich nie naukę moralną, ale tendencyjny fałsz, wystawia gorszem społeczeństwo jak jest, uczy wybiegów, zaleca pozory, podsuwa przestępstwom wy-

mówkę, jak *Pani Aubray*, idealizuje sprosności, jak w *Damie Kameliowej*, zgoła czyni grzech ponętnym i zajmującym, a cnotę ckliwą i wstrętną. Prawda, że teatr choćby najmoralniejszy, mało kogo poprawia, lecz iluż psuje i zatruwa na całe życie! Ale gdyby taka *Księżna Jerzowa* była przygodną na deski francuskie, czyż nie grzeszy niewłaściwością na scenie polskiej? Nie, będzie to zawsze skazą na chwale pani M., że takie role wybiera. Czyżby jej skłonność miała nie być ku idealizowaniu, ale ku uzmysławianiu charakterów, ku realizmowi? Znać to ze sposobu, w jakim pojmuje Kleopatrę, jeśli sprawiedliwie sposób ten został określony. Zamiast idealniejszego pojęcia wschodniej, tajemniczej natury, wiecznej walki między zagadkowością Wschodu a zagadkowością Zachodu, wystawia ona kobietę z kocią zalotnością i instynktami pantery... Teraz dopominam się feletonu o muzyce, a potem jakiego pięknego Alleluja na Wielką Sobotę."

Tę wzmiankę o Kleopatrze przytaczamy z osobnym zamiarem. Ciekawem jest, jak pojmuje tę postać głęboki znawca Szekspira, a dla artystek, odważających się na rolę Kleopatry, może w tych słowach być i wskazówka do rozwiązania tej arcytrudnej w sztuce aktorskiej zagadki.

Inny znowu list opisywał pobyt w Poznaniu Deotymy, niegdyś ostro przez krytyka *Przeglądu* sądzonej, a szczególniejszą uprzejmością wypłacającej się Koźmianowi za przestrogi udzielane jej młodzieńczej twórczości, w chwili, gdy kraj cały sam jej bił oklaski:

„Mieliśmy więc Deotymę. Odczyty jej nie wzbudzały tego zapału, na jaki miała prawo liczyć. Bo też wiersze, przez samego autora recytowane, nie nadają się do wystąpień publicznych, chyba że są krótkie, okolicznościowe, doraźne. Nie mogę sobie wystawić Mickiewicza odczytującego choćby tylko *Grażynę*, albo Krasińskiego deklamującego *Nieboską*. Prawda, że tradycya niesie, iż Homer wygłaszał swe rapsody przed tysiącznemi tłumami ludu. Ale to można sobie wyobrazić w Grecyi, nad morzem, starca z arfą w ręku, powtarzającego wiersze, które lud po większej części umiał na pamięć. Lecz w sali Bazarowej, gdzie nie przebrzmiały jeszcze echa karnawałowe, wpośród eleganckiej publiczności, roztargnionej, wpośród dam mniej słuchających a

więcej przypatrujących nawzajem jedna drugiej jak ubrana, pod żarem płomieni gazowych, to już atmosfera nie dla poezyi. Gdybyto jeszcze deklamowała taka Modrzejewska; ale głos krzykliwy Deotymy, często aż do piskliwości zarywający, a przytem nie dość wyraźny i silny, aby tak dużą salę zapełnić, nie mógł oddać tylu piękności, któremi przepełnione są jej utwory. Wielka część obecnych nie dosłyszała, większa nie zrozumiała, i tylko bardzo nieliczne grono znawców mogło objąć całość. Byłem tylko na ostatnim odczycie. Trwał z okładem pięć kwadransy. Żal mi było, jak najudatniejsze ustępy mijały bez wrażenia. Już się dzieje inaczej, gdy poetka czyta w dobranem kole na wieczorach towarzyskich, a cóż dopiero gdy mówi z pamięci, gdy improwizuje. Dlatego też wznieciła najwyższe uniesienie na uczcie niedzielnej swemi tak zawsze trafnemi a prześlicznemi odpowiedziami. Teraz już nikt nie powtórzy złośliwego zdania, że w Apollu ma Deotyma nie ojca, ale ojczyma. Talent to wielki, samorodny, niewyczerpany. W każdej okoliczności gotowa najwłaściwszą dać wierszem odpowiedź. Dobrą stroną jej pobytu było podniesienie ducha u ospałej rzeszy, ale złą to, że zamiast rozpoetyzowania się, wszystko się rozwierszowało a raczej rozwierszydłowało, osobliwie w kołach niewieścich."

Ludzie z tej epoki i tego pokolenia, co Stanisław Koźmian, osobliwą miewali skłonność, a nawet słabość, nietylko do poezyi, ale nawet do wierszy. Chcąc sędziwemu druhowi najpierwszych mistrzów narodowych prawdziwą sprawić przyjemność, wystarczało mu wspomnieć, że ten lub ów z jego młodszych przyjaciół rymami się bawi i muzom hołduje. Jakże się zaraz wiadomością tą cieszył, domagał próbek talentu, powtarzał, iż radby nowego odkryć poetę! W obecnym świata i umysłów nastroju zawodne było to życzenie, daremne najczęściej nadzieje. Ale nawet gdy niestałe natchnienie spaliło na panewce, Koźmian rad był młodociane poznawać utwory, upatrując w nich pewien zwrot dodatni ku odbieżonym dziś powszechnie ideałom.

Nie doczekał nowego poety, ale rychło odgadł cały olbrzymi zasób historycznej poezyi, zamknięty w epopei Sienkiewicza: *Ogniem i mieczem.* Z początku wytrawny krytyk nie objawiał zdania, żartował nieco z powszechnego rozczy-

kawienia i entuzyazmu, trudno nawet przychodziło wykwintnemu na dawny sposób pisarzowi oswoić się z nadmiarem krwi, mordów i pożogi, ba! nawet z rubasznością Zagłoby. Nie byłto jednak umysł, w ciasnych formułkach utartej konwencyonalności zamknięty, nie znał *parti-pris* w rzeczach piękna, a raz oceniwszy wartość utworu, pospieszył z chętnem uznaniem. Na parę tygodni przed atakiem paraliżu, który miał ostatnie miesiące życia jego zamienić w jedno powolne konanie, pisał jeszcze z właściwą swobodą:

„Dziękujemy za obietnicę przysłania nam dalszych numerów *Czasu*. My tu, nagleni ciekawością, jak się skończy *Ogniem i mieczem*, chwytamy z redakcyi *Kuryera* to, co pozostaje z pisma krakowskiego, po zużyciu i obcięciu przez nożyce redaktorskie. Ale tak to pokiereszowane i ułomkowe, iż najczęściej tylko domysłem spajać musimy i odbudowywać, jak z licznych kości postać mamuta. Wiemy już o powrotnej drodze bohaterów po zabiciu Horpyny, i jaką cudną pięknością zakwitła znów księżniczka, której włosy *notabene*, niedawno przez Zagłobę odcięte, spadają jak hyacynty na jej ramiona. Zapowiadają się znów wielkie niebezpieczeństwa. Oczywiście, lada chwila zjawi się Bohun. Zwyciężą go, bo przecież Podbipięta musi ściąć trzy głowy. Bądź cobądź, niepomierna to wartość utworu, kiedy tak wszystkich zajął. Oddawna nic tak głębokiego i powszechnego wrażenia nie sprawiło. Krytyka musi zamilknąć przed tak świetnym tryumfem.“

Korespondencya tak pełna odgłosów bieżącego życia i ruchu, tak wymownie świadcząca o uniwersalności zawsze młodej i świeżej inteligencyi, urywa się dopiero wtedy, gdy pióro z ubezwładnionej wypada ręki. List ostatni nosi datę 12 lutego 1884 r. a 19 tegoż miesiąca, przy rannych modlitwach, nagłe połowy ciała odrętwienie zapowiedziało częściowy zrazu, a postępujący odtąd stopniowo atak paraliżu.

W mniemaniu, że śmierć rychło nastąpi, przykładnie się na nią Stanisław Koźmian sposobił, korzystając skwapliwie z wszystkich łask i pociech, jakiemi Kościół w ostatnią godzinę ukrzepia wiernych synów swoich. Pożegnał, pobłogosławił najbliższych i z mężnem a pogodnem poddaniem wyglądał ostatecznego powołania na Sądy Boże. Nie danem mu

jednak było w onej chwili promiennej w niebo niejako wstępować. Zachwyt Taboru najczęściej uprzedza Kalwaryjskie męki. I oto przez długie miesiące przyszło mu jeszcze kroczyć zwolna przez dolinę cieniów śmierci, w utęsknieniu wielkiem i uciśnieniu ducha. Zrazu choroba tylko ciało zmogła, nie tknęła się wyższych umysłu zdolności. Bywały jeszcze, nawet w ciągu ostatniego roku, dni względnie pogodne, w których rad przyjmował dawniejszych znajomych i przyjaciół, po dawnemu sprawami Towarzystwa Przyjaciół Nauk się zaprzątał, słuchał z zajęciem czytywanych sobie głośno artykułów z gazet i przeglądów, rozmawiał niemal wesoło. Odwiedziny ukochanej siostry, która po dłuższem w głąb Rosyi zasłaniu, znów mogła raz po raz otrzymać pozwolenie wyjazdu za granicę, aby się z bratem widzieć, pokrzepiły go widocznie. Ale byłyto już prawie przelotne rozpogodzenia. Wkrótce ciemniejsze nastąpiły chwile, jakoby falowania przytomności, odbiegającej, aby powracać i znów znikać, zostawiając choremu całą bolesną świadomość swej dwojakiej niemocy. Płakał wówczas jak dziecko, łzy obfitym potokiem z oczu jego płynęły, a zapytywany o rodzaj cierpienia, najczęściej odpowiadał z rozdzierającym bólu wyrazem: „Taka tęsknota! taka udręczająca tęsknota!“ Iście Jobowa byłato skarga, bo wszak i ów sprawiedliwy mąż w godzinę próby wołał: „*Taedet animam meam vitae meae*, tęskni sobie dusza moja w żywocie moim.“ Wśród tego smutku niekiedy przypominały się choremu dawne ulubione zajęcia, dawnym też wabiły go ku sobie wdziękiem. To chciał pisać, próbując daremnie bezwładną ręką nieczytelne kreślić znaki, to znów dyktował córce niezrozumiałe znów, bo niepowiązane z sobą wyrazy. Wśród słów naprzemian górnych lub potocznych, zjawiały się nagle Szekspirowskie reminiscencye: Falstaff, Anna Page — i znów bolesna powracała skarga: „Tak mi tęskno, tak tęskno!“ W tym jednak smutnym zachodzie była ukryta głęboka nauka, jawnym przykładem, iż śmierć jest nietylko uwieńczeniem, ale i odzwierciedleniem całej doczesnej pielgrzymki. Prace, zajęcia, dążności całego życia powoli tak wryją się w duszę, tak do niej przylegną, że ich nic wyrwać nie zdoła, nawet ostateczne pokusy i ostatnie zapasy z śmiercią. Tu powoli wszystko gasło, zostawało

tylko światło wiary, przyzwyczajenie i potrzeba modlitwy, a z świeckich rzeczy echa dawnego dla Szekspira kultu. Nietylko dyktując wspominał ulubionego poetę i mistrza. W chwilach rozrzewnienia i tęskności, gdy go otaczająca rodzina próbowała ukoić, pocieszyć, napół przytomnie odpowiadał całemi ustępami z *Króla Leara* w angielskim języku. Ile razy w ostatnich dniach życia spostrzegał przy sobie młodszą córkę, tylekroć wołał zaraz o *Memorare*, ulubioną swą Najśw. Panny modlitwę, którą z nim po łacinie powtarzać było trzeba. Zamglone oczy nie otwierały się już na przemijającego świata obrazy, wargi niewyraźne składały dźwięki, a jeszcze w nich rozpoznać było można odpowiedź błagalną na wezwanie Litanii: módl się za nami, módl się za nami! Tak niegdyś kończył najwznioślejszy z swych utworów, mistrzów słowa oddając w opiekę Królowej Polskiej Korony. Z tą modlitwą do lepszego przeszedł żywota na dniu 23 kwietnia 1885 r.

Wieść żałobna szybko rozniosła się po kraju. Zewsząd posypały się liczne hołdy, wyrazy szczerego żalu, łzy i kwiaty. Naczelne kraju instytucye bogate wieńce złożyły na trumnie: Poznań, Toruń, Kraków, wyprzedzały się w tej pośmiertnej daninie, w której Warszawie brać udziału nie było dozwolonem... Akademia Umiejętności, do której zmarły od r. 1873 należał, wysłała Staniaława hr. Tarnowskiego, sekretarza swego, dla uczestniczenia w pogrzebowym obrzędzie. Towarzystwo Przyjaciół Nauk mnożyło dowody czci dla zgasłego swego prezesa, a sekretarz hr. Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström z serdeczną a żałobną uczynnością krzątał się około zarządzenia uroczystego pogrzebu. Uszanowano wolę zmarłego, który pragnął spocząć wśród wiejskiej ciszy i wiejskiego ludu; Poznań zachował więc tylko szczątki jednego brata, X. Jana Koźmiana, złożone w podziemiach archikatedralnych, podczas gdy wspaniały pomnik dłuta Sosnowskiego w samejże świątyni upamiętnia imię i zasługi tak dzielnego w winnicy Bożej i na niwie ojczystej pracownika. Innem życzeniem Stanisława Koźmiana było, aby serce jego złożonem w grobie Zygmunta Krasińskiego zostało. — Na dniu 26 kwietnia, w pogodny dzień wiosenny, nieprzejrzane tłumy odprowadzały za bramy miasta trumnę

męża dobrze Wielkopolsce zasłużonego, aczkolwiek dopiero w połowie życia, *nel mezzo del cammin*, przybył dzielić trudy i troski Wielkopolan. Nie rzadkie to w dziejach pojedynczych dzielnic zamiany, zwłaszcza w porozbiorowych czasach, jakby udowodnieniem, że jesteśmy zawsze jedni, mimo politycznych odgraniczeń. Śniadeccy z Poznańskiego, „koronny“ Lelewel z pod Warszawy, idą na Litwę, do Wilna; Lubelskie darzy Wielkopolskę Koźmianami... Wiceprezes Towarz. Przyjaciół Nauk, sędziwy Dr. Matecki, drżącym od wzruszenia głosem pożegnał drogie zwłoki, hr. Engeström ze swej strony kilka rzewnych słów dorzucił, Zarząd Towarzystwa otoczył trumnę, powiały nad nią cechowe i kościelne chorągwie, a wśród żałobnych pieni duchowieństwa z prowincyi i miasta, ruszył orszak pogrzebowy. Powaga i godność całego obrzędu odpowiadały charakterowi człowieka, któremu w ten sposób Poznań ostatnią oddawał posługę. Nie byłato wyśrubowana sztucznemi środkami demonstracya uliczna, ani manifestacya stronnicza, jeno pogrzebowa uroczystość, pełna żałoby i chrześciańskiej zarazem nadziei. A idąc za tym pochodem, w którym uczestniczyły wszystkie warstwy społeczne, każdy czuł żywo i rozumiał, że wtedy nawet, gdy hałaśniejsze lecz mniej rzetelne zasługi zbladną, a wysławiane dziś różnej miary nazwiska się zatrą, póki stanie „*Mowy Polskiej*,“ nie zaginie pamięć Stanisława Koźmiana, wiernego jej i innych skarbów ojczystych strażnika i czciciela.

Nazajutrz złożono zwłoki w przysposobionym od lat kilku grobie rodzinnym, pod piękną, wiejską w Brodnicy świątynią. X. prałat Stablewski opowiedział żywot zmarłego, przypominając na wstępie, iż w jednym niemal czasie zniknął przyjaciel Mickiewicza, Odyniec, i wierny druh Krasińskiego, Stanisław Koźmian. Po nim przemówił Stanisław hr. Tarnowski, a głos jego zamknął szereg pogrzebowych uroczystości i hołdów. Trumnę zanieśli na swych barkach aż do miejsca ostatniego spoczynku synowie owych przyjaciół, którzy przed trzydziestu laty tak serdecznie na ziemi wielkopolskiej witali przybywającego z emigracyi wygnańca.

Tyle razy posługując się w toku niniejszej pracy własnemi śp. Stanisława Koźmiana słowami, mamy ochotę raz jeszcze zastósować do niego samego, do próżni jaką po so-

bie zostawił, do żalu w jakim pogrążył śmiercią swoją rodzinę i bliskich i dalszych czcicieli, wyrazy, jakiemi przed kilku laty tłómaczył swe spółczucie osieroconym dzieciom jednego z najbliższych swych przyjaciół:

„Po każdej wielkiej stracie, po pierwszem przerażeniu i osłupieniu, następuje ten ciągły, nieukojony smutek, który przywodząc na pamięć wszelkie szczegóły zgasłego żywota, daje nam najdolegliwiej czuć, jak go nam niedostaje w każdej sprawie, w każdej chwili. Czy się jakie przedsięwzięcie rozpoczyna, czy jaka nadzieja świta, wszędzie na drogach ducha i serca, wszędzie go nam brak, wszędzie widnieje jego postać i uprzytomnia nam, ileśmy stracili, i że już go nikt zastąpić nie może. To powszechne spółczucie niech trwałem świadectwem jego zasług — a wam pociechą się stanie.“

Na tych słowach malujących dobitnie nietylko wielkość żalu, ale i doniosłość straty, zamkniemy te luźne wspomnienia, nie kuszące się bynajmniej o znaczenie i miano wyczerpującej biografii lub literackiego studyum. Szkic to raczej, wysnuty z listów, zapisków, dzieł drukowanych zmarłego, z osobistych lub tradycyą odziedziczonych wspomnień i pamiątek. Niedostateczna to praca, ale nikt lepiej odemnie nie czuje jej niedostatków. Może jednak kiedyś godniejszy biograf znajdzie tu zapas surowego materyału i zużytkować go raczy tak łaskawie, jakto świeżo uczynił X. Kalinka z wspomnieniem o jenerale Chłapowskim, niegdyś w *Lwowskim Przeglądzie* drukowanem. Ta nadzieja dodawała mi otuchy w pracy i dziś mnie ośmiela do puszczenia w świat tego, co raczej uważać należy za wyraz osobistego żalu, czci i wdzięczności, aniżeli za obraz zupełny życia i działalności śp. Stanisława Koźmiana.

Ogarniając zaś jednem wstecznem spojrzeniem życie to, które spróbowaliśmy opowiedzieć, przedstawia się nam ono w całości swojej i pełne i piękne. Szczęśliwy, kto mimo krępujących dłonie nasze pętów, potrafił bez wytchnienia służyć krajowi, za młoda z orężem w ręku, później pługiem i piórem, a zawsze sercem. Rozpierzchłe w niniejszem opowiadaniu rysy, pozwoliły odtworzyć charakter Stanisława Koźmiana; chcąc zaś w dwóch słowach streścić przewodnie owej pięknej duszy znamiona, wystarczy powiedzieć, iż byłto

przedewszystkiem mąż cichy i czysty. Wśród zamącenia dzisiejszych pojęć o prawdziwej prawości, ta ostatnia pochwała osobnego nabiera znaczenia, osobny też urok posiada, a nieskazitelność cnoty i nieskazitelność pióra, wśród ciągle zmieniających się kolei życia i warunków pracy, pięknym promienieje blaskiem przy końcu doczesnej wędrówki, gdy ta przez długie lata ani na krok nie zboczyła od wytkniętego sobie w młodości celu — służby Boga i Ojczyzny. Cichość zaś w chrześciańskiem znaczeniu obejmuje zarazem i pokorę, i pojednawczą łagodność, i pełną wyrzeczenia skromność w czynieniu dobrze. Mało kto w tym względzie wyższym od śp. Stanisława Koźmiana świecić może przykładem. I jemu podobnie jak ukochanemu bratu, X. Janowi, „ideałem była zawsze praca bez nagrody od ludzi, z ciągłą pamięcią, że co się na tym świecie nie płaci, odpłatnem jest u Pana Boga.“ Zasługi swe, działalność, twórczość literacką, trudy i posługi, z niczego się nie chełpił, niczem nie popisywał, wszystko uważał za nic, za mało wobec tego, co się od każdego należy Ojczyźnie. Przez całe życie dwojaką ofiarą: pióra i grosza, obfite sypał jałmużny, to ratując pisma polskie chętnem, bezinteresownem spółpracownictwem, to przychodząc w pomoc biedzie polskiej, gdziekolwiek o niej posłyszał. Wspomnienie ciężkich początków własnej tułaczki głównie serce jego poruszało litością dla szczątków naszej emigracyi, pozostałych na ziemi angielskiej. Wciąż ich ratował, lub za nimi orędował. Zacny major Szulczewski był tam jego wyręczycielem i pośrednikiem; dziś, po tylu wspólnych miłosiernych zabiegach, obaj przyjaciele spotkali się w owym zagrobowym świecie, gdzie miłosiernym przyrzeczone miłosierdzie... Publiczne sprawy i składki niemniej hojnego znajdowały w Koźmianie jałmużnika. Ilekroć pisma poznańskie rzucały jaką myśl dobrą, zakołatały o szybką pomoc, w pierwszym szeregu datkujących stale, dobrym przykładem świeciły litery S. K. Podczas dziesięciolecia swego urzędowania jako prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, bezinteresowną służbą przysporzył 30,000 marek funduszom instytucyi, a o tak wspaniałym darze, na jaki wielu z majętniejszych zdobyć się nie potrafiło, nikomu ani wspomniał. Podobnych przykładów ofiarności nie brak w tem pięknem i pełnem życiu.

Słowem, to wszystko, co jego przyjaciel Zygmunt wyśpiewał w pieśni Zmartwychwstania, to Stanisław Koźmian uczynił „jawem i prawem.“ Szczęśliwe społeczeństwa, wśród których zamieszkują do czasu podobne duchy, będące zawsze i wszędzie „w zamęcie miarą — i strojem w rozstroju.“

35